tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 50 (1049) ROK XXII 16 GRUDNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

■ Kołami na ziemi ■ Z potrzeby chwili ■ W obiektywie handlowca ■ Eurostrategia NATO ■ Droga Czernika ■ Recenzje ■ Felietony ■ Załącznik

Foto: R. Łucyszyn

CENA PRZEMIAN

Przeżywamy czas wzmożonej refleksji o sprawach państwa, miejsca Polski w świecie, o sytuacji gospodarczej kraju. W toczącej się dyskusji, która objęła wszystkie środowiska, przejawia się troska o losy kraju, wynikająca z osobistego zaangażowania, z poczucia odpowiedzialności za teraźniejszy i przyszły kształt Polski. I to w toczącej się przedzjazdowej dyskusji wydaje się szczególnie cenne, bo nikt nie zwalnia nas od myślenia, od obywatelskiej troski o nasze sprawy.

Z rozwojem tak dynamicznym, jaki przeżywa Polska w ostatnich latach, wiążą się pewne koszty społeczne. Trzeba się więc głęboko zastanowić, jak zmierzać do wytyczonego celu, aby cena postępu, którą płaci każde rozwijające się społeczeństwo, była jak najmniejsza. I temu zagadnieniu poświęciliśmy redakcyjną dyskusję przy magnetofonie, zapraszając do udziału w niej przedstawicieli nauki, ekonomistów i socjologów z Uniwersytetu Łódzkiego. (czytaj str. 8–9).

KOŁAMI NA ZIEMI

rozmowa z dyrektorem P.P. Polmozbyt w Łodzi JERZYM KOPTASEM

— Panie Dyrektorze, od pięciu lat istnieje Polmozbyt i w tym czasie więcej było doń pretensji ze strony użytkowników samochodów niżli pochwał. Czyżby wasze przedsiębiorstwo ciągle trwało w stadium organizacji i rozwoju? Jak to jest na naszym, łódzkim „podwórku"?

— Pytanie jest przewrotne, ale postaram się na nie odpowiedzieć. Łódzki Polmozbyt obsługuje przeciętnie ponad milion klientów rocznie. Policzmy: ilość otwartych zleceń na naprawę w naszych stacjach obsługi ilość osób przewijających się przez 46 sklepów. 20 tys. samochodów sprzedawanych rocznie, po które zgłaszają się nieraz całe rodziny wraz z tzw. rzeczoznawcami — oto obraz tej wielkiej migracji ludności. Natomiast skarg — i tych w książkach wywieszonych w stacjach i sklepach i tych, które klienci zgłaszają podczas dyżurów dyrektorskich, a także napływających do prasy, radia, tv lub przesyłanych wprost do ministerstwa czy zjednoczenia, tych skarg rejestrujemy rocznie zaledwie kilkaset. Rozumiem, że większość naszych klientów nie jest na pewno całkowicie zadowolona z naszych usług. W sumie jednak przeważają ci, którzy zostali załatwieni dobrze i w terminie. W swoim pytaniu Pan tę sprawę odwrócił. Żałujemy, że nie rejestrujemy pochwał pod naszym adresem, które stanowią pewien procent napływającej do nas korespondencji.

Pyta pan, czy nasze przedsiębiorstwo ciągle trwa w stadium organizacji i rozwoju. Ze stadium organizacji wyszliśmy już dawno. Polmozbyt powstał z połączenia Technicznej Obsługi Samochodów, Behamotu i Motozbytu i od pięciu lat trwa intensywny rozwój nowego przedsiębiorstwa. Ten rozwój jest warunkiem niezbędnym, bowiem przybywa nam samochodów, powstają ich coraz to nowe wersje, nowe odmiany. Zaczynaliśmy od stu kilku stanowisk w roku 1974, a teraz mamy ich prawie 300. Dziś wykonujemy sześciokrotnie większy plan niż w tymże 1974 r., kiedy to Polmozbyt dopiero się tworzył. Mieliśmy kiedyś 11 stacji obsługi, w tej chwili mamy ich 23. Zwiększyła się także ilość punktów sprzedaży samochodów. Przedsiębiorstwo rozwija się tak dynamicznie, że trudno byłoby poszukać w naszym mieście i regionie inną organizację gospodarczą o takich wskaźnikach dynamiki.

— Pretensje dotyczą zazwyczaj jakości usług i coraz bardziej wydłużającego się czasu załatwiania tzw. „spraw papierkowych". Powszechnie

Dalszy ciąg na str. 4

Z POTRZEBY CHWILI

RYSZARD BINKOWSKI

Urywa się ściana lasu i pierwszym widokiem, jaki rzuca się w oczy na tle otwartego, płaskiego, jesiennie mglistego pejzażu, są czyściutkie, czerwone kombajny zbożowe. Jak się później okaże, już wyremontowane, gotowe do żniw. A z prawej nowe bloki mieszkalne i potężny gmach gminnej szkoły zbiorczej w budowie. Dalej, tuż przy skrzyżowaniu, widnieje ukryty pod stylowym daszkiem zgrabny budyneczek przyszłej cukierni, jeden z pierwszych nowych punktów handlowych.

Kombajny i nowa hala warsztatowa w bazie SKR, bloki mieszkalne, stojące w otwartym polu na lichej ziemi V i VI klasy, wszystko to jest znakomitą wizytówką Zapolic, które przycupnęły sennie za lasem, przy drodze wiodącej ze Zduńskiej Woli do Widawy; jest dowodem, iż w tej „zapadłej dziurze", którą poniektórzy złośliwcy miast Zapolicami zwali zadupiem, rzeczywiście dzieje się coś dobrego, i że działają tu ludzie pełni zapału, mądrzy, z otwartymi głowami. Nieprzypadkowo do Zapolic trafiła nagroda województwa sieradzkiego. A kiedy uporządkuje się dane związane z przeobrażeniami w Zapolicach, to ze skomponowanej całości wynika, iż dokonania te zrodziły się niejako z potrzeby chwili. Zaczęło się od tego, że naczelnik gminy podjął kiedyś odważną, męską decyzję i dokonał całkowitej zmiany dyrekcji SKR...

Wielu naczelników twierdzi, i to nie bezpodstawnie, że z takim „wymysłem" jak SKR dłużej w gminie nie wytrzymają. Naczelnik, Józef Bartczak, uznał natomiast, że dobra SKR jest podstawą rozwoju społeczno-gospodarczego gminy.

— Bez dobrej SKR życie naczelnika byłoby trudne.

Dalszy ciąg na str. 6

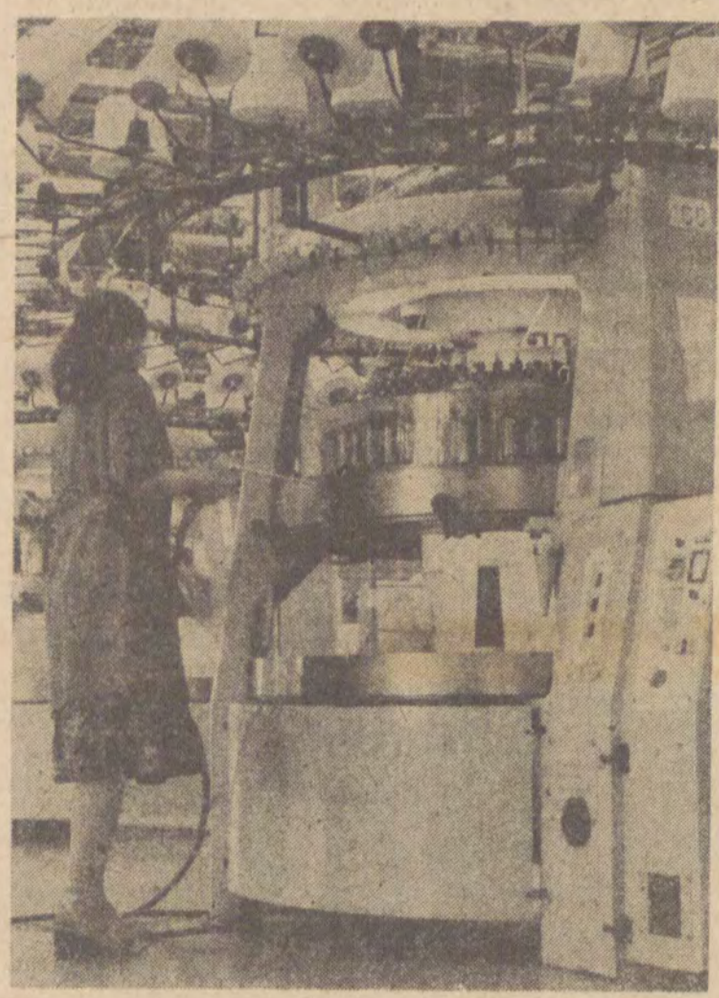

Kto dawno nie był w Łodzi i dziś tu przyjedzie, ten przyznaje, że to inne miasto. Ale jakby niedokończone. Bo też nie może być inaczej. Zapoczątkowane w latach siedemdziesiątych naszego stulecia przemiany trwają nadal. Miasto jest w przebudowie...

Najpierw budowało się wieniec osiedli, większych i małych, które otaczają pierścieniem ciągle jeszcze stare centrum. Teofilów, Retkinia, Chojny, Dąbrowa, Zarzew, Widzew Wschód, Zgierska-Stefana, Radogoszcz — oto ten pierścień nowych osiedli. Ale i do centrum dotarły przemiany. Wystarczy tylko wysiąść na dworcu Łódź — Fabryczna i wyjść na przydworcowy plac, aby zobaczyć inne niż dawniej śródmieście. Wystarczy stanąć przed „Centralem", aby popatrzeć na wyłaniającą się z dawnej zabudowy nową Łódź.

„Zasługa dostrzeżenia potrzeb Łodzi jako najbardziej naglących — pisał we wrześniu 1978 roku Jerzy Urban w „Polityce" — **należy do kierownictwa kraju powołanego na przełomie 1970 i 1971 roku. Rekonstrukcja Łodzi jako miasta i ośrodka przemysłowego była jedną z pierwszych jego wielkich decyzji".**

W książce **„Łódź 35-leciu PRL"** znajduje się rejestr zatytułowany: **„Ważniejsze zadania inwestycyjne przekazane do użytku w 35-leciu PRL".** Rejestr ten otwiera Elektrociepłownia II. Oddano ją do użytku w 1958 roku. Następną ważniejszą inwestycją łódzką było wybudowanie na Teofilowie Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „ELTA". Był to rok 1962.

Teatr Wielki oddano do użytku w 1966 roku, ale budowano go wiele lat.

W tym samym **1966 roku** oddano jeszcze do użytku:
— Dom Gospodyni „Magda",

— Szpital Onkologiczny.

Powszechny Dom Towarowy „Uniwersal" był gotowy i przyjął pierwszych klientów w **1967 roku.**

W **roku 1969** Łódź otrzymała:

— Elektrociepłownię III,

— Zakłady Obuwia Gumowego „Stomil",

— wytwórnię włókien szklanych w Zakładach Włókien Sztucznych „Anilana",

— wybudowano trybunę na stadionie Łódzkiego Klubu Sportowego.

W **1970 roku** miasto otrzymało między innymi:

— Łódzką Fabrykę Koronek „Fako", wybudowaną na Teofilowie,

— oddział produkcji szlifierek Zakładów Mechanicznych im. Józefa Strzelczyka „Jotes", wybudowany na Dąbrowie.

A potem przyszedł rok 1971...
W listopadzie 1971 roku Rada Ministrów podjęła uchwałę o rozwoju i modernizacji miasta Łodzi. W uchwale tej napisano między innymi:

„W celu stworzenia właściwych warunków kompleskowego rozwoju miasta Łodzi w latach 1971—1975 i następnych, a w szczególności zapewnienia harmonijnego rozwoju przemysłu i poprawy stanu bezpieczeństwa i higieny pracy oraz sytuacji socjalno-bytowej załóg robotniczych i całej ludności miasta, Rada Ministrów uchwala co następuje:

§ 1. Zatwierdza się kompleksowy Program Rozwoju i Modernizacji m. Łodzi w latach 1971-1975 oraz Założenia na Lata Dalsze...

§ 3. p. 1. Zatwierdza się kwotę nakładów inwestycyjnych na lata 1971-1975 w ogólnej wysokości 35724 mln zł..."

Jakżeśmy się wówczas fascynowali sumą 35 miliardów zł danych nam na rozwój miasta. Wydaliśmy wszakże znacznie więcej, zamieniając pieniądze w nowoczesne fabryki, większe mieszkania, rozwój komunikacji, w estetyczny wygląd miasta.

W **1975 roku** dokonano w Polsce reformy administracyjnej, w wyniku której powstało województwo miejskie łódzkie. Był już czas na dokonanie pewnych porównań, ocen. Zastanowienia się nad tym, ile zrobiliśmy, jak pracowaliśmy nad realizacją programu rozwoju i modernizacji Łodzi. Ale nim zaczęto dokonywać porównań, trzeba się było odnaleźć w nowej skali kraju, który podzielony został na 49 województw.

Województwo miejskie łódzkie obejmowało:

— 3,1 procent ludności kraju,

— 4,6 proc. zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej,

— 3,4 proc. zakładów przemysłowych kraju,

— 3,4 proc. krajowych miejsc w kinach, teatrach i instytucjach muzycznych,

— 7,1 proc. studentów.

Województwo **w 1975 roku** produkowało:

— 4,8 proc. krajowej produkcji globalnej,

— 59,9 proc. wyrobów pończoszniczych,

— 46,0 proc. tkanin bawełnianych i bawełnopodobnych,

— 44,4 proc. transformatorów elektrycznych o mocy powyżej 20 kVA,

— 46,0 proc. żarówek produkowanych w Polsce.

W 1975 roku ludność Łodzi zwiększyła się z 762,7 tysięcy do 787 tysięcy, co stanowiło 2,3 procent ludności kraju.

W pięciolatce 1971-1975 łodzianie otrzymali 148 974 nowe izby w nowych blokach, podczas gdy w latach 1966-1970 wybudowano 11 815 izb.

W 1975 roku można było znów podsumować, co nowego wybudowano.

W 1971 roku miasto otrzymało:
— Łódzkie Zakłady Metalowe,

— telefoniczną centralę automatyczną Łódź — Wschód.

W 1972 roku:

— Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Kalina", które wybudowano na Nowych Sadach, a które później połączyły się z ZPDz. „Olimpia",

— Łódzki Kombinat Budowy Domów,

— Hotel „Mazowiecki" z 270 miejscami,

— Spółdzielczy Dom Handlowy „Central",

— Szpital im. Mikołaja Kopernika.

W 1973 roku:

— Przędzalnię Czesankową Anilany „Polanil" na Dąbrowie,

— Centralne Laboratorium Dziewiarstwa,

— Fabrykę domów „Kesting",

— drukarnię prasową RSW „Prasa-Książka-Ruch" przy ul. Armii Czerwonej,

— centralę telefoniczną Łódź — Teofilów,

— wodociąg Sulejów — Łódź.

To tylko niektóre z zakończonych w tym roku inwestycji. Lista ich jest znacznie bogatsza. Są to już pierwsze rezultaty wprowadzania w życie założeń programu modernizacji i rozwoju Łodzi oraz przemysłu miasta.

Rok 1974 przyniósł miastu:

— Zakłady Urządzeń Klimatyzacyjnych i Automatyki „Uniprot", wybudowane na Nowych Sadach,

— Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów" na Teofilowie,

— Fabrykę Dywanów „Dywilan" na Dąbrowie,

— Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona" na Dąbrowie,

— Łódzkie Zakłady Mechanizacji Budownictwa „Zremb",

— centralę telefoniczną Łódź — Żubardź i Łódź — Południe.

— Dom Rencisty Włókniarza wybudowany przy ulicy Krzemienieckiej,

— kombinat gastronomiczny przy ulicy G. Narutowicza.

I znów lista nie jest pełna. Wymieniamy tylko niektóre z ważnych inwestycji, jakie oddano w tym roku.

Rok 1975 przyniósł Łodzi:
— oddział przędzin w ZPB im. St. Kunickiego „Maltex",

— wykończalnię ZP Pasmanteryjnego „Bonax",

— centralę telefoniczną Łódź — Dąbrowa,

— Dziewiarską Spółdzielnię Inwalidów „Dina",

— kino „Iwanowo".

Wyniki działalności inwestycyjnej Łodzi w realizacji programu rozwoju i modernizacji miasta można zamknąć następującym stwierdzeniem: w latach 1971-1977 wybudowano w Łodzi 41 nowych fabryk i zmodernizowano około 130 starych. Jest to wynik imponujący. Szczególne znaczenie ma tutaj modernizacja starych fabryk. W starych murach nie tylko zainstalowano nowe maszyny, wprowadzono klimatyzację, ale też utworzono oddziały pracy chronionej dla kobiet w ciąży, poprawiono warunki i higienę pracy. Ludziom pracuje się teraz lżej, wydajniej, przyjemniej.

A jak było?

„Kiedy zapadły postanowienia o przyspieszonym rozwoju i modernizacji Łodzi — pisał J. Urban w „Polityce" w 1978 roku — **w tutejszym przemyśle włókienniczym 60 proc. maszyn i urządzeń było już moralnie zużytych, przeważnie również fizycznie, a niemal całą resztę klasyfikowano jako przestrzałe. Łatwo było spotkać maszyny, ba, całe zespoły sprzed pierwszej wojny światowej, a nawet dziewiętnastowieczne... Oto współczesne kobiety w dziewiętnastowiecznych murach trudziły się niepomiernie przy anachronicznych maszynach — sprawcach brudu i nieopisanego hałasu."**

Zmieniła się też struktura przemysłu. Jeśli w 1970 roku przemysł elektromaszynowy dawał 16 procent ogólnej produkcji miasta, to w 1978 roku już 21,8 procent. Natomiast udział przemysłu włókienniczego — nadal zresztą dominującego — zmalał z 49,5 procent w 1970 roku do 48,9 procent. Zmalał też, nieznacznie wprawdzie, udział przemysłu chemicznego, skórzanego i odzieżowego w ogólnej produkcji przemysłu Łodzi.

W latach 1976-1978 wybudowano w Łodzi 101 520 izb mieszkalnych w 29 039 mieszkaniach. Łódź nadal się rozrastała, zajmując tereny wolne na zachodzie i wschodzie miasta, a także na północy. Jednak coraz częściej szuka się terenów pod budowę nowych osiedli w częściach miasta uprzednio zabudowanych, gdzie istnieje sieć kanalizacyjna, wodociągowa, elektryczna. Tu buduje się taniej, choć trzeba burzyć stare domy, dawać ludziom w nich mieszkającym nowe mieszkania, co nie wpływa dodatnio na długość oczekiwania na nowe mieszkanie przez dziesiątki tysięcy oczekujących, kandydatów i członków spółdzielni mieszkaniowych.

Rozwój budownictwa mieszkaniowego, powstanie nowych osiedli spowodowało wzrost odległości między poszczególnymi rejonami miasta. Wydłużyły się trasy komunikacyjne. Na przykład w 1970 roku długość tras tramwajowych wynosiła 164, a w 1978 — 168 km, ale długość tras autobusowych wynosiła w 1970 roku 173 km, a w roku 1978 — 293 km. Ilość tramwajów w roku 1970 wynosiła 783, w 1978 roku — 801. Ilość autobusów natomiast zwiększyła się w Łodzi w ciągu tych 8 lat z 405 do 621 czyli o 216. Ale brak części zamiennych w wystarczającej ilości, jak i przestarzały tabor tramwajowy powodują, że po Łodzi kursuje znacznie mniej tramwajów i autobusów niż je MPK posiada.

W **„Uchwale Rady Ministrów"** z 29 listopada 1971 roku w sprawie rozwoju i modernizacji m. Łodzi znajduje się i takie postanowienie:

„§ 9. Zobowiązuje się Ministra Komunikacji do:

1) opracowania w terminie do dnia 31 marca 1972 r. studium ekonomiczno-technicznego przywrócenia komunikacji lotniczej miasta Łodzi z innymi ośrodkami w kraju...

2) sukcesywnego częściowego włączania obwodnicy kolejowej do przewozów pasażerskich w komunikacji miejskiej w miarę powstawania technicznych możliwości wynikających z rozbudowy i modernizacji łódzkiego węzła kolejowego".

Nie doczekała się też Łódź przebudowy dworców kolejowych. Planuje się budowę kilku wiaduktów, które są niezbędne dla usprawnienia komunikacji w mieście.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD DINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN GABIŃSKI, ANDRZEJ GLAJER, TADEUSZ GŁĄŻEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

ŁÓDŹ LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH

Na początku lat siedemdziesiątych modne było porównywanie warunków życia w Łodzi i innych dużych miastach Polski. Miasta te — takie, jak Warszawa, Poznań, Kraków czy Wrocław albo odbudowywały swoje zniszczenia, albo rozbudowywały się w znacznie szybszym tempie niż Łódź. Stąd też porównania wypadały na ogół na niekorzyść Łodzi.

A jak dziś wygląda porównanie warunków życia w Łodzi i innych dużych miastach kraju?

Powszechnie wiadomo, że Łódź rozwijała się żywiołowo przez całą drugą połowę XIX wieku, że koegzystowały tu obok siebie fabrykanckie pałace, robotnicze „familiaki" i drewniane domki tkaczy, że długo nie było tu kanalizacji, wodociągu, choć były tramwaje elektryczne. W Łodzi najwięcej ludności mieszkało w jednoizbowych mieszkaniach, bo takie dla robotników budowali fabrykanci i kamieniczni-cy. Dlatego zaraz po wojnie zwrócono szczególną uwagę na potrzebę rozwiązania kwestii mieszkaniowej, choć pierwsze bloki zaczęto budować w Łodzi dopiero w latach pięćdziesiątych.

W 1960 roku w Łodzi przypadało przeciętnie 2,8 izb na jedno mieszkanie. Tyle samo, co w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu, tylko w Poznaniu było lepiej, gdyż tam przeciętnie na jedno mieszkanie przypadało 3,1 izb.

W 1970 roku Łódź wyprzedzała wprawdzie Warszawę i Kraków, gdyż w Łodzi na jedno mieszkanie przypadało 3,1 izby, w Warszawie — 3 izby, w Krakowie — 2,8. Te trzy miasta pozostały w tyle za Poznaniem i Wrocławiem, gdzie było 3,6 izby na mieszkanie.

I choć w ciągu następnych 7 lat w Łodzi dokonał się postęp, to przecież inne duże miasta nas wyprzedziły. I tak w 1977 roku przeciętnie na jedno mieszkanie przypadało:

— we Wrocławiu — 4 izby

— w Poznaniu — 3,9 izby,

— w Warszawie — 3,6 izby,

— w Krakowie — 3,6 izby,

— w Łodzi — 3,4 izby.

Znacznie zmniejszyła się w Łodzi ilość osób przypadająca na jedno mieszkanie. W 1950 przypadały prawie dwie statystyczne osoby na jedną izbę, dokładnie było 1,93. Najgorzej wśród 4 dużych miast kraju. W 1977 roku mieliśmy już tylko 1,05 osoby na izbę, podczas gdy w Krakowie było 1,15, we Wrocławiu — 1,11, a w Poznaniu — 1,08. Obecnie na Widzewie i Polesiu na jedną izbę przypada 0,9 statystycznej osoby.

Zmienił się przez te lata wygląd miasta. Na przykład w 1965 roku w Łodzi było tylko 25,7 proc. jezdni z ulepszoną nawierzchnią. Najmniej wśród 4 stale porównywanych miast. Jeszcze w 1970 roku ustępowaliśmy Warszawie, Krakowowi, Poznaniowi i Wrocławowi. Ale już w 1977 roku sytuacja zmieniła się. Mamy w mieście 52,7 proc. jezdni z ulepszonymi powierzchniami, więcej niż w Poznaniu (49,1 proc.) i w Warszawie (50,7 proc.), ale mniej niż we Wrocławiu (74,1 proc.) i w Krakowie (72 proc.).

Zazieleniła się też Łódź, ale ustępujemy pod tym względem innym miastom. A było już wcale dobrze. Na przykład w 1970 roku na jednego statystycznego łodzianina przypadało 9,5 m kwadratowych powierzchni parków i zieleńców, to jest więcej niż w Krakowie, gdzie było 7,9 m kwadratowego i niewiele mniej niż we Wrocławiu (10,2) i Warszawie (11 m kwadratowych), ale dużo mniej niż w Poznaniu (17,4). W 1978 roku posiadaliśmy 8,9 m kwadratowych powierzchni parków i zieleńców przypadającą na jednego statystycznego łodzianina i to jest mniej niż w innych miastach. W Poznaniu jest bowiem 20,3 m kwadratowe powierzchni parków i zieleńców, w Warszawie — 13,2, we Wrocławiu — 12,9, a w Krakowie — 9,9 m kwadratowych.

Znacznie w ostatnich 8 latach wzrosło zużycie energii elektrycznej w gospodarstwach domowych Łodzi w przeliczeniu na jednego statystycznego łodzianina. Ustępujemy pod tym względem tylko Wrocławowi, gdzie zużycie wzrosło o 183,3 kWh, podczas gdy w Łodzi o 173,3 kWh. W Poznaniu — o 165,9 kWh, w Warszawie — o 140,3 kWh i w Krakowie — o 132,1 kWh. Jest to bez wątpienia rezultat rosnącego wyposażenia naszych gospodarstw domowych w urządzenia poruszane energią elektryczną, jak pralki, w tym automatyczne, roboty kuchenne, rożna, sokowirówki, lodówki.

Natomiast roczne zużycie gazu w 1978 roku wzrosło w stosunku do poziomu z 1970 roku w znacznie mniejszym stopniu niż gdzie indziej. Wyprzedziliśmy tylko Wrocław w rocznym zużyciu gazu w gospodarstwach domowych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. W Łodzi wzrosło ono o 51,8 metrów sześciennych, a we Wrocławiu o 23. Znacznie więcej wzrosło w Poznaniu, bo o 79,5 metrów sześciennych, w Warszawie — o 178,6, a w Krakowie — o 185 m sześciennych. W Łodzi jest bowiem dużo jeszcze mieszkań, których kuchnie nie mają gazu.

W sumie jednak porównania dokonywane obecnie wykazują, że choć jest jeszcze pewien dystans między innymi dużymi miastami kraju, jeśli chodzi o istniejące tam warunki życia, bo istniał on w momencie startu Łodzi do realizacji programu modernizacji i rozbudowy, to przecież zmniejszył się on znacznie w jednych dziedzinach, albo został zlikwidowany w innych.

WOJEWÓDZTWO MIEJSKIE ŁÓDZKIE powstało w 1975 roku, tak jak pozostałe 48 województw kraju. Mieszkało w nim wówczas 1 079,2 tysiąca ludzi, a w 1978 roku mieszkało już 1 112,8 tysiąca osób. Jest to jedno z mniejszych województwie, ale wysoce uprzemysłowione. W chwili powstania dawało ono 4,8 proc. globalnej produkcji krajowego przemysłu.

Razem z Łodzią jest tu 8 miast: Łódź, Aleksandrów Łódzki, Głowno, Konstantynów, Łódzki, Ozorków, Pabianice, Stryków, Zgierz. Jest 11 gmin.

Miasta są gęsto zamieszkałe. Średnio na 1 km kwadratowy powierzchni miast przypada 3 031 osób. Najwięcej w Łodzi, gdzie przypada 3 851 osób na km kwadratowy, a w śródmieściu — 16 011 osób. Najgęściej zaludniony jest Aleksandrów Łódzki, gdzie na kilometr kwadratowy przypada 3 201 osób. W Pabianicach — 2 774, w Ozorkowie — 1 706, w Zgierzu — 1 683, w Głownie — 763, w Konstantynowie Łódzkim — 685, w Strykowie — 452. Na wsi na 1 km kwadratowy przypadają średnio 83 osoby.

Na potencjał produkcyjny województwa składa się nie tylko produkcja przemysłowa Łodzi, jej przemysłu włókienniczego, odzieżowego, skórzanego, elektrotechnicznego, metalowego, chemicznego, spożywczego oraz spółdzielczości pracy, ale też produkcja zakładów włókienniczych Pabianic, Zgierza, Ozorkowa, Aleksandrowa, Konstantynowa, przemysłu odzieżowego Pabianic i Zgierza, przemysłu barwników w Zgierzu, przemysłu oświetleniowego i maszyn drogowych Pabianic.

I choć województwo miejskie łódzkie jest jednym z bardziej uprzemysłowionych rejonów kraju, to posiada przecież swoje rolnictwo.

Ogółem jest w województwie 102 406 ha użytków rolnych. W czerwcu 1978 roku pod zasiewami znajdowało się 83 107 ha powierzchni uprawnej.

Może to się wydawać dziwne, ale 10 612 ha zasianych znajdowało się w miastach, a 72 495 — na wsi.

W miastach najwięcej użytków rolnych jest w Łodzi, bo 7 752 ha, z tego 6 287 ha pod zasiewami. Konstantynów Łódzki ma 1 488 ha użytków rolnych, z tego w czerwcu 1978 roku pod zasiewami było 1 108 ha. Pabianice mają w swoim obrębie 928 ha użytków rolnych, a Zgierz — 918 ha.

W całym województwie na 100 ha użytków rolnych przypada 64,1 sztuk bydła i 93,3 trzody chlewnej. I tu znów zdziwienie. W miastach jest średnio więcej trzody chlewnej przypadającej na 100 ha użytków rolnych, bo 106,5 sztuk, niż na wsi, bo 91,2. W Łodzi na 100 ha użytków rolnych przypada 109,5 sztuk trzody chlewnej, a więc więcej niż wynosi średnia dla wszystkich miast województwa miejskiego łódzkiego. Przy czym na Bałutach jest 190,4, na Widzewie — 123,8, a w Śródmieściu 445,5 sztuk trzody chlewnej na 100 ha użytków rolnych, choć jest tam tych użytków (!!!) 11 ha. Śródmieście bije rekord województwa, gdyż, jak wykazują to statystycy na wsi największą ilość trzody chlewnej na 100 ha użytków rolnych mają rolnicy gminy Aleksandrów Łódzki, bo 137 sztuk.

W pomidory i ogórki Łódź zaopatruje się przede wszystkim w dwu dużych kombinatach ogrodniczych: Widzew — Żdżary i Janów. Poza tym w Łodzi, jak też w jej pobliżu, działa wiele prywatnych gospodarstw ogrodniczych.

Po roku 1975 zmalało tempo realizacji zamierzeń inwestycyjnych. Zgromadzony potencjał produkcyjny powinien w tym czasie zacząć dawać coraz nowocześniejszą, poszukiwaną produkcję. Czy ją daje? Czy zawsze należycie umiemy wykorzystać to, cośmy posiadali, cośmy wstawili do nowoczesnych fabryk, w cośmy je wyposażyli?

Wszakże Łodzi przybywały nowe fabryki, instytucje.

W roku 1976 miasto otrzymało:

— przy ul. Milionowej wybudowane Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika,

— hotel „Centrum"

— pawilon usługowo-handlowy „Juwentus" przy obecnej alei Adama Mickiewicza, szybko zmieniającym się fragmencie centrum Łodzi.

W 1977 roku wybudowano:

— odlewnię żeliwa w Widzewskich Zakładach Maszyn Włókienniczych „Polmatex — Wifama".

— Zakłady Przemysłu Pończoszniczego „Feniks",

— centralną dziewiarnię i farbiarnię w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona",

— Łódzkie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Skogar",

— pawilon handlowo-usługowy „Hermes" przy alei Adama Mickiewicza,

— hotel turystyczny „Światowit".

Wybudowano też w Łodzi Elektrociepłownię IV, która dostarcza ciepło do budującej się dzielnicy Widzew Wschód. Otwarty został fragment trasy „W-Z", stanowiący nowoczesną, szeroką, wygodną arterię komunikacyjną na odcinku od alei Włókniarzy do ulicy Kopcińskiego. Po wybudowaniu wiaduktów na ulicy Rokicińskiej i w okolicy dworca Łódź — Kaliska trasa „W-Z" połączy Retknię z Widzewem Wschód.

Po wojnie Łódź stała się też ośrodkiem akademickim. W 1978 roku studiowało w 7 szkołach wyższych 33,5 tysięcy studentów. Działają tu instytuty naukowe przemysłu, centralne laboratoria, centrum badawcze Polskiej Akademii Nauk.

W 1978 roku Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, która jako jedyna w kraju kształci projektantów dla przemysłu lekkiego, otrzymała nowy gmach. Wybudowano też bibliotekę dla Akademii Medycznej, w budowie jest szpital kliniczny. Inne wyższe uczelnie otrzymały w poprzednich latach pomieszczenia dla swoich potrzeb, choć to nie rozwiązuje ich kłopotów lokalowych.

Jest też Łódź ośrodkiem kultury. Gdyby spojrzeć na to od strony statystyki, to jest tu 6 teatrów, z 8 scenami, które dysponują 3 062 miejscami. Było tych miejsc trochę więcej, bo w 1977 roku — 3073, a w 1975 roku — 3 212.

Zmniejszyła się nie tylko ilość miejsc, ale i frekwencja w teatrach. W 1975 roku odwiedziło je 780 tys. widzów, w 1977 roku — 624,9 tysięcy, a w 1978 — 588,6 tysięcy.

Są trzy instytucje muzyczne: Filharmonia Łódzka, Teatr Wielki oraz Operetka. Dysponują one 3 117 miejscami i odwiedziło je w 1978 roku 797,6 tysięcy widzów. Ale w 1975 roku było widzów 875,3 tysięcy.

Filharmonia Łódzka gwałtownie potrzebuje nowego pomieszczenia. Projekt jest gotowy, miano już przystępować do budowy, ale konieczność ograniczenia zamierzeń inwestycyjnych spowodowała odsunięcie czasu budowy nowego gmachu Filharmonii.

Posiada Łódź Wytwórnię Filmów Fabularnych, Wytwórnię Filmów Oświatowych oraz Studia Małych Form „SeMaFor", co składa się wraz ze „szkołą filmową" na spory ośrodek filmowy w kraju. Powstał Zespół Filmowy „Profil".

Trzeba jeszcze wspomnieć o łódzkich muzeach, które mają bogate i ciekawe zbiory, bibliotekach, w których czytelnicy wypożyczają książki i spotykają się z autorami tych książek, o domach kultury i stowarzyszeniach czy towarzystwach kulturalnych. W kinach województwa miejskiego łódzkiego jest 14 861 miejsc, z tego 12 053 w Łodzi. Na wsi jest tylko 178 miejsc w kinach stałych — są one w Andrespolu. Jeśli chodzi o kina łódzkie, to część z nich znajduje się w złym stanie, a część prędzej czy później będzie musiała być zburzona ze względu na przebudowę miasta, na modernizację jego układu komunikacyjnego.

O rozwoju życia kulturalnego w mieście, w województwie decydują ci, którzy kulturę upowszechniają, jak i ci, którzy ją tworzą. Są w Łodzi środowiska kulturalne i twórcze: naukowe, filmowe, teatralne, literackie, plastyczne, muczyczne i od ich pracy, inwencji, twórczości zależy i zależeć będzie ranga miasta na kulturalnej mapie kraju.

„Od 1971 roku — pisał w sierpniu 1979 roku w „Perspektywach" Witold Szymanderski — **to jest od uchwały rządu w sprawie przyśpieszenia modernizacji Łodzi bardzo wiele się zmieniło w tym mieście i wydawało się, że dla tej „Ziemi obiecanej" nadszedł wreszcie czas spełnienia obietnic. Trzeba jednak powiedzieć prawdę: nie idzie to tak szybko, jakby się chciało, ani nawet tak szybko jak mogłoby iść przy lepszej organizacji całego procesu. Chociaż więc osiągnięcia są olbrzymie, jak choćby to, że w 1973 roku zdublowano przedwojenną zabudowę i co drugi mieszkaniec miasta mieszkał w nowym domu — to do zrobienia zostało jeszcze niezmiernie dużo, a trudności nie maleją wcale, tylko piętrzą się w miarę upływu czasu."**

Tak nas widzą. Tak widzą nasze sprawy. Łódź istotnie zmieniła się ogromnie w ciągu upływających lat siedemdziesiątych. Proces przebudowy miasta, program rozwoju województwa, realizacja zadań, jakie sobie stawiamy, a które wyrastają z naszych ambicji, pragnień, aby Łódź pięknniała i aby tu się żyło dobrze i wygodnie, rodzi nieustannie kłopoty i problemy, rodzi trudności. Są to wszakże nasze kłopoty, z którymi my sami musimy się uporać. Zdajemy sobie sprawę, że wiele z naszych zamierzeń nie zostało spełnionych w pierwotnie planowanych terminach, ale z ich realizacji przecież nie zrezygnowaliśmy.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn
Zb. W. Nowak,
W. Parys,
A. Zbraniecki

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

twierdzi się, że w łódzkim Polmozbycie dużo krócej trwa naprawa samochodów niż obieg dokumentów potrzebnych do wydania właścicielowi jego pojazdu.

— Muszę stwierdzić, że ton zadawanych przez pana pytań jest co najmniej złośliwy. Ale ja to nawet lubię. Otóż stwierdzam, iż podstawowa dokumentacja w procesie obsługi samochodów jest konieczna i temu nikt nie potrafi zaprzeczyć. Jest konieczna tym bardziej, że dokonuje się ten proces w określonej sytuacji, gdzie często bywają różnego rodzaju braki, gdzie występuje zjawisko normalnego czasem złodziejstwa. Nikt, nawet posiadacz samochodu nie zaprzeczy, że te operacje, jak pan mówi biurokratyczne, muszą wystąpić. Co nie znaczy, że nie widzimy w Polmozbycie przerostów biurokratycznych, i że z nimi nie walczymy. Taką najprostszą formą skrócenia, zlikwidowania biurokracji do minimum jest obsługa przez nasze pogotowie techniczne, gdzie pracownik na miejscu załatwia wszystkie formalności w jednym dokumencie.

I jeszcze jedna sprawa: ludzie, którzy to robią. I właśnie stąd biorą się czasem słuszne utyskiwania klientów. Bo nasi ludzie — zdarza się, a jakże — mają inne, rzekomo ważniejsze sprawy niż to, by obsłużyć klienta sprawnie, szybko, z kulturą, z tymi zjawiskami także walczymy i jak pan wie, zdecydowanie rozstajemy się z ludźmi naruszającymi podstawowe obowiązki pracowników Polmozbytu i szkalującymi dobre imię naszej firmy.

— Sam jestem właścicielem samochodu i jakże często spotykałem się w przeszłości, a i spotykam się dziś z odpowiedzią, że czegoś nie mogą mi zreperować, bo nie ma potrzebnych części i nikt nie wie, kiedy takowe znajdą się w magazynach Polmozbytu. Dlaczego tak się dzieje?

— W tym pytaniu dostrzegam pewną przesadę. My, wykonując kilkaset tysięcy usług rocznie, posługujemy się częściami, których wartość sięga milionów złotych. I to jest sprawa oczywista, natomiast tak jak wszędzie, u nas także występują okresowe różnego rodzaju braki. Czasem wynika to z niedowładu organizacyjnego w naszym systemie zaopatrzeniowym, z czym usilnie walczymy. Na jeden samochód osobowy, dla przykładu na Fiata 126 P, składa się ponad 4 tys. różnorakich części. Okresowo brakuje w naszych magazynach 30—40 części. Są to tzw. deficyty lub pozycje zerowe. Tegoroczny nasz plan wynosi ok. 600 mln zł w usługach, a 80 proc. z tego tj. 480 mln zł to jest właśnie wartość części włożonych w naprawiane samochody. Nie mówmy więc o braku części na przykładzie jednego przypadku, natomiast popatrzmy na to szerzej. Są braki, które dokuczają jednakowo nam jak i naszym klientom. Jednakowo bolejemy, jeśli nie możemy wykonać naprawy z powodu braku jakiejś małej części. Ale staramy się zrobić wszystko, by takie sytuacje sprowadzić do sytuacji wyjątkowych. I tak wygląda prawda.

— Co z akumulatorami, gdyż ich brak powoduje kombinacje wolnorynkowe, gdzie za akumulator 12 woltowy żądają półtora tysiąca złotych?

— Już starożytni wiedzieli, że brak równowagi między podażą, a popytem powoduje określone zjawiska spekulacyjne. To nie jest sytuacja, która nagle dzisiaj wyskoczyła. Sprawa jest znana i stara jak świat. Rzeczywiście istnieje w tej chwili na rynku brak akumulatorów, my nie otrzymujemy ich także, bo producent nie nadąża produkować takich ilości, które zaspokoiłyby potrzeby. Sytuację pogarsza fakt, że większość akumulatorów znajduje się w skrzynkach z polipropylenu, co stanowi konstrukcję „nienaprawialną", czyli mówiąc inaczej, uszkodzenie jednej celi dyskwalifikuje cały akumulator. Zresztą po wyczerpującą odpowiedź, musi się pan zwrócić do producenta, do poznańskiej „Centry".

— Panie Dyrektorze, Polmozbyt to nie tylko brak części lub nie zawsze dobre warunki pracy, ale przede wszystkim ludzie. Wiele pretensji zgłaszają wasi klienci pod adresem nie tylko złej pracy mechaników, lecz często poddają krytyce ich uczciwość.

— Tak, mają klienci dużo pretensji pod adresem złej pracy mechaników i poddają w wątpliwość ich uczciwość. Ze swej strony chcę zapewnić, że energicznie i konsekwentnie rozprawiamy się z przejawami nieuczciwości w pracy w Polmozbycie. Mówiłem o wydalanych mechanikach z pracy. Ale my oczekujemy także na współdziałanie ze strony naszego społeczeństwa, naszych zmotoryzowanych klientów. Bez ich pomocy nie zdołamy wykorzenić zła.

KOŁAMI NA ZIEMI

Foto: R. Łucyszyn

Chcemy by nam wskazywano imiennie ludzi, którzy wymuszają napiwki, czy żądają wręcz łapówek. Jest to łatwe, bowiem każdy pracownik Polmozbytu ma swoje nazwisko na identyfikatorze, noszonym na ubraniu roboczym. U nas nie ma anonimowych pracowników. Ale prosimy także, by klienci sami nie „wpychali" pieniędzy, co się czasem zdarza, gdy chcą wynagrodzić mechanika dodatkowo za wykonanie jakiejś usługi. Napiwki są rzeczą przyjętą w świecie, ale dobrze widziane u fryzjera, natomiast nigdy u nas. Wynagrodzenie pracowników w Polmozbycie opiera się na systemie prowizyjnym i jeżeli się uczciwie pracuje, można sporo zarobić. Dlatego stwarzanie okazji do brania łapówek, jest takim samym przestępstwem jak sama łapówka.

Mówiliśmy o dniu dzisiejszym Polmozbytu, a co nas czeka jutro? Myślę tu o tzw. bazie technicznej, stanowiskach napraw, magazynach itp.

— Ta sprawa wymagałaby szerszego omówienia i sądzę, że ta jedna rozmowa nie wyczerpałaby całkowicie tematu. Więc może skrótowo: dzień jutrzejszy wynika z podstawowych założeń polityki motoryzacyjnej. Produkcja samochodów nieustannie się zwiększa, a w ślad za tym musi postępować dalszy rozwój bazy usługowo-naprawczej. Mamy dobre perspektywy rozwoju w przeciwieństwie do sytuacji jaką zastaliśmy pięć lat temu, kiedy organizowaliśmy Polmozbyt. Chcę powiedzieć, że aktualnie w Łodzi budujemy 3 duże obiekty: jest to stacja podobna do tej z ul. Puszkina, która będzie umiejscowiona na Retkini przy ul. S. Allende, a którą zamierzamy uruchomić już w przyszłym roku: dalej — Centrum Obsługi i Sprzedaży samochodów marki Fiat przy ul. Przybyszewskiego, gdzie ilość stanowisk obsługowo naprawczych będzie największa, bo aż 80 (wobec 14 stanowisk w stacjach typu na ul. Puszkina czy Allende). Budujemy, co rozwiąże dokuczliwe dla nas kłopoty magazynowe, magazyn typu bułgarskiego także przy ul. Przybyszewskiego na zapleczu wymienionego wyżej Centrum. Ten magazyn umożliwi nam podwojenie ilości przechowywanych części, co tym samym radykalnie zmieni sytuację napraw w stacjach Polmozbytu (większe ilości części zamiennych i szybsza naprawa). Wspomnę jeszcze o przygotowaniach do budowy następnej, 14-stanowiskowej stacji, która będzie zlokalizowana prawdopodobnie na Radogoszczu, niedaleko trasy E-16, w okolicy istniejącego obecnie skrętu z al. Włókniarzy w ul. Zgierską.

Teraz o warunkach pracy. Nasze stacje są stacjami nowoczesnymi i panują w nich przyzwoite warunki pracy. Zapraszam na ul. Puszkina, do otwartej w tym roku stacji. Tak właśnie w przyszłości będą wyglądać wszystkie stacje Polmozbytu. W starych natomiast, istniejących od dawna, także zrobiliśmy sporo, by warunki pracy doprowadzić do odpowiedniego standardu. Zrobiliśmy to ostatnio na ul. Strykowskiej — Matejki, robimy na Pokładowej. O tym klienci mogą przekonać się naocznie.

— To wszystko w Łodzi, a czego mogą oczekiwać posiadacze samochodów mieszkający w województwach sieradzkim, piotrkowskim i skierniewickim?

— W przyszłym roku rozpoczynamy budowę stacji obsługi samochodów w Sieradzu oraz przygotowujemy się do rozpoczęcia budowy takich stacji w Sochaczewie i w Wieluiu. Przygotowujemy także budowę warsztatów lakierniczo-blacharskich przy stacji w Łodzi jak również w Skierniewicach, a także będziemy rozbudowywać stacje obsługi w Rawie Mazowieckiej i Żyrardowie.

W 1981 r. rozpoczniemy budowę stacji obsługi w Tomaszowie Maz., Zgierzu i Pabianicach. Nie mówię tu o milionach złotych przeznaczanych co roku na modernizację i intensywniejsze wykorzystanie potencjału produkcyjnego w istniejących obiektach Polmozbytu, co widać w Łodzi choćby na przykładzie ul. Brukowej, Podkładowej, a także w innych naszych obiektach. Rocznie przeznaczamy także sumę ok. 15 mln. zł na zakup nowoczesnego wyposażenia do istniejących obiektów usługowych Polmozbytu. W efekcie tych wszystkich działań powinniśmy około 1983 r. mieć w naszej organizacji Polmozbytu ok. 500 stanowisk naprawczych.

— Panie Dyrektorze, dotychczas mówiliśmy o usługach Polmozbytu, a jak to wygląda w całej Branży Usług Motoryzacyjnych, której Polmozbyt jest przecież jedynie jednym z ogniw?

— W skład Branży Usług Motoryzacyjnych wchodzą jednostki Polskiego Związku Motorowego, spółdzielczości pracy, Wojewódzkich Związków Spółdzielni Rolniczych, a także wielka ilość stanowisk naprawczych rzemiosła. Polmozbyt jest wśród nich instytucją wiodącą. Rzecz w tym, aby cały ten pozostały potencjał był również intensywnie wykorzystywany. My pracujemy wszędzie na dwie zmiany, czasem i na trzy (np. nasze pogotowie, pomoc drogowa i niektóre stacje obsługi w regionie), natomiast w branży jako całości wskaźnik zmianowości jest o wiele niższy. Sądzę, że proste działania mogłyby wybitnie poprawić sytuację i zlikwidować korki w stacjach obsługi. Chodzi po prostu o to, aby wszyscy udziałowcy Branży Usług Motoryzacyjnych mogli podstawowe rezerwy tkwiące w ich potencjale wykorzystać jak najpełniej. Wpłynie to na lepsze zaspokojenie potrzeb w zakresie usług motoryzacyjnych i zmniejszy zdenerwowanie naszych klientów, których dzisiaj, za pośrednictwem redakcji „Odgłosów" pragnę zapewnić, że kłopotów z Polmozbytem z roku na rok będą mieć coraz mniej.

— O to właśnie chodzi. Dziękuję panu Dyrektorowi za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

RUCHOME RZEŹBY

Muzeum rzeźb Juliana Brzozowskiego w Sromowie. „Wesele" — zespół figur ruchomych.

Foto: Chądzyński

Julian Brzozowski — rolnik ze wsi Sromów (woj. skierniewickie) — należy do grona najciekawszych rzeźbiarzy średniego pokolenia w Polsce centralnej. Jakkolwiek próbował on rzeźbić różne figurki już w latach chłopięcych, to jednak poważniej rzeźbiarstwem zajmuje się od roku 1952. Tworzywem jego dzieł jest głównie drewno lipowe i wierzbowe. Rzeźbi dużo wykonując figury różnej wielkości. Należy do tych twórców ludowych, których cechuje wewnętrzna potrzeba wykonywania dzieł nawiązujących do różnych sytuacji i czasów. Najwięcej rzeźb artysty powstaje w okresie zimowym, kiedy jest mniej prac w gospodarstwie rolnym.

Przez dłuższy okres Julian Brzozowski przechowywał swe rzeźby w małym pomieszczeniu gospodarczym i w mieszkaniu. Z ciasnotą panującą w domu, wynikającą z nagromadzenia w nim prac artysty, cierpliwie godziła się żona — Wanda, będąca pełna zrozumienia dla pasji twórczej swego męża. W roku 1972 rzeźbiarz ze Sromowa, kosztem około 250 tys. złotych, wybudował obszerny pawilon, w którym umieścił znaczną część wykonanych przez siebie rzeźb. Uroczyste otwarcie ekspozycji odbyło się w czerwcu tegoż roku.

Znaczną atrakcję pawilonu — muzeum rzeźb Juliana Brzozowskiego stanowi to, że niektóre eksponaty można wprowadzić w ruch przy pomocy specjalnej korby lub prądu elektrycznego. W ten sposób — na przykład — zespół postaci zgromadzonych na uroczystości weselnej zaczyna „jeść" i „pić", a orkiestra „gra".

Rzeźby Juliana Brzozowskiego przedstawiają przede wszystkim mieszkańców Łowickiego, odzianych w stroje ludowe, podczas różnych uroczystości, a także przy pracy. Nie brak również postaci historycznych — naszych królów i bohaterów narodowych. Do tej grupy dzieł należy „Szopka Tysiąclecia", składająca się z kilkudziesięciu figur. Rzeźby artysty znajdują się nie tylko w pawilonie — muzeum, ale także w ogródku przed tym pomieszczeniem. Nimi jest też przyozdobiony dom mieszkalny na zewnątrz i wewnątrz.

Prace twórcy ludowego ze Sromowa były prezentowane szerszym kręgom społeczeństwa na wystawach krajowych i lokalnych (między innymi w Domu Chłopa w Warszawie) oraz w telewizji. Sporo też osób zwiedziło zaprezentowane wyżej muzeum rzeźb znajdujące się naprzeciwko domu mieszkalnego artysty. Tych, którzy nie mieli okazji oglądać dzieł Juliana Brzozowskiego, zachęcamy do ich obejrzenia podczas pobytu w Łowickiem. Zainteresowanych informujemy, że wieś Sromów leży na północny wschód od Łowicza, w odległości 11 km od tego miasta.

Warto dodać, iż poza Julianem Brzozowskim również i niektórzy członkowie jego rodziny posiadają uzdolnienia artystyczne. Wiele wycinanek i pająków wykonała matka rzeźbiarza po której zapewne odziedziczył w znacznym stopniu zamiłowanie twórcze. Piękne pająki wykonuje także wspomniana już poprzednio żona Juliana Brzozowskiego. Zdolności i zamiłowania plastyczne mają też dzieci małżonków Brzozowskich.

HENRYK SZUBERT

BOLESŁAW MALINOWSKI

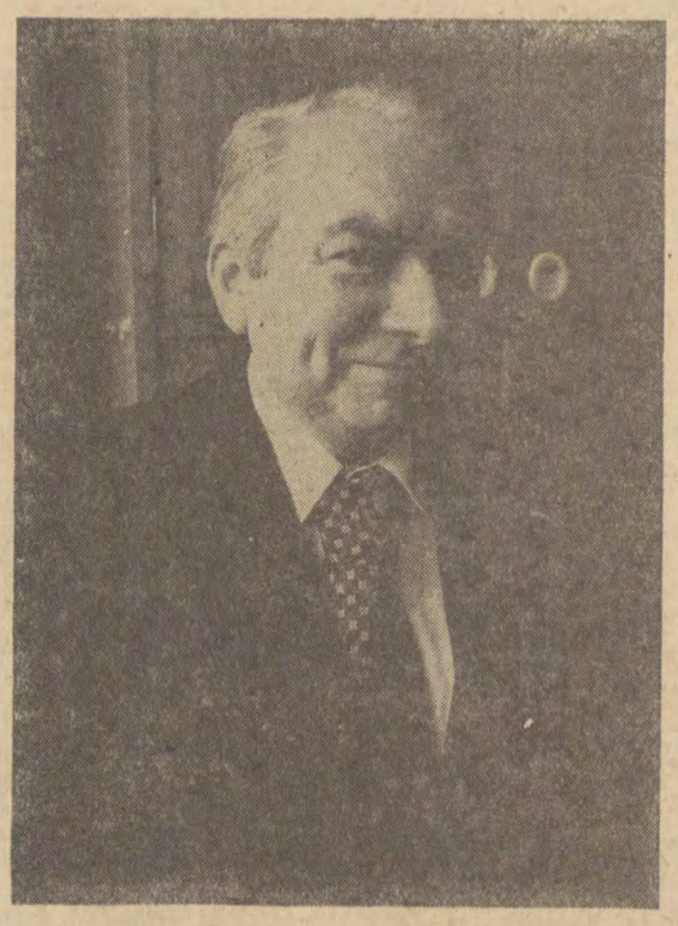

„Ani nie pomyślałem wtedy, że oto w jakiejś drobnej cząsteczce biorę udział w tworzeniu historii"

Foto: R. Łucyszyn

Kiedy zastanawiam się nad moim 35-leciem, to pamięć podsuwa mi zaraz obrazy znacznie wcześniejsze. Bo to się rzeczywiście wszystko dla mnie zaczęło znacznie wcześniej. I nie mogę wspominać moich życiowych doświadczeń z okresu tworzenia i rozwoju Polski Ludowej bez odwołania się do prologu, czyli do lat wcześniejszych.

Jestem łodzianinem. Pochodzę z rodziny włókniarskiej. Urodziłem się na Bałutach, wychowałem na Widzewie. Miałem 16 lat, kiedy zetknąłem się z Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej i zostałem członkiem tego związku. To mi przeszkodziło w dostaniu pracy w „Manufakturze Widzewskiej", ale zahartowało na całe życie i związało z ruchem komunistycznym.

Swoje zawodowe doświadczenia gromadziłem pracując w fotografa, w introligatorni, w wytwórni skrzynek, w przedsiębiorstwie budowlanym. A potem przyszła wojna i znalazłem się na robotach w Niemczech, a ściślej na Pomorzu Zachodnim, w Szczecinie-Dąbiu. Pracowałem tam w tartaku.

Skończyła się kampania wrześniowa 1939 roku. Głęboko wszyscy przeżywaliśmy klęskę. Wśród działaczy robotniczych o poglądach lewicowych toczyły się ożywione dyskusje. Zdawaliśmy sobie sprawę, co nas może czekać pod okupacją. Nie mieliśmy złudzeń, czym jest hitleryzm, ale wielu z nas nie było w stanie wyobrazić sobie, co nam, Polakom i innym narodom okupowanej Europy, zgotuje faszyzm — zwyrodnienie imperializmu. Zadawaliśmy sobie wtedy pytanie: co robić?

Jedni byli zdania, że trzeba uciekać do Związku Radzieckiego, aby tam wspólnie z obywatelami tego kraju szykować się do walki z faszyzmem. Większość jednak uważała, że trzeba tu, na miejscu, w kraju przystąpić do organizowania oporu i mobilizowania ludzi do walki z okupantem. Ja należałem do nielicznej grupy młodzieży, która pomna pięknych tradycji walki proletariatu niemieckiego, była skłonna udać się do Niemiec na roboty, aby tam, niejako u źródeł faszyzmu przystąpić do walki.

Mało jednak wiedzieliśmy o ówczesnych Niemcach. Na miejscu, na Pomorzu Zachodnim, przekonaliśmy się, że tamtejsza ludność, poza nielicznymi wyjątkami, nastawiona jest szowinistycznie. Nie było więc warunków dla realizacji naszej szczytnej idei. Musieliśmy się w zasadzie ograniczyć do własnego grona. A było to towarzystwo międzynarodowe, pościągane z całej Europy. Mieliśmy — nielegalnie oczywiście — radioodbiornik i słuchaliśmy audycji w różnych językach, co dawało nam dobrą orientację w tym, co dzieje się na świecie. W tej pracy pomagało nam — trzeba to uczciwie stwierdzić — mieszane małżeństwo niemiecko-polskie. On był żołnierzem jeszcze z pierwszej wojny światowej, antyfaszystą, ona Polką spod Zbąszynia.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że w okupowanej Polsce powstała Polska Partia Robotnicza. Postanowiłem natychmiast wrócić do Łodzi. Oczywiście nielegalnie. Rwałem się do walki, a tu nie było do tego warunków. W Łodzi wpadłem w ręce Niemców zupełnie przypadkowo. Na szczęście aresztowano mnie tylko pod zarzutem opuszczenia bez zezwolenia miejsca przymusowej pracy. Ale i tak miałem za swoje. Siedziałem najpierw w Radogoszczu, później w Malborku, Gdańsku i Szczecinie. Przez więzienia i przesłuchania wróciłem do tartaku w Szczecinie-Dąbiu. Wróciłem do międzynarodowego towarzystwa i nasłuchów radiowych.

Te nasłuchy stały się przyczyną drugiego aresztowania. Ktoś doniósł Niemcom, że my słuchamy radia i dyskutujemy o tym, co się dzieje na świecie. A to było zabronione. Mieliśmy tylko pracować na chwałę Trzeciej Rzeszy. Więc znów znalazłem się w więzieniu.

Skończyło się to wszystko dla mnie szczęśliwie i oto w maju 1945 roku znalazłem się cały i zdrów w rodzinnej Łodzi. A tu wiele się zmieniło. Łódź była wolna, pełna różnych ludzi, instytucji, życia. Tu mogłem znów odnaleźć swoje miejsce wśród tworzących nowy ustrój. Wielu z moich dawnych towarzyszy nie odnalazło się. Wielu bezpowrotnie zabrała wojna. Ich miejsce zajmowali nowi ludzie, pełni zapału i chęci tworzenia nowego.

6 czerwca 1945 roku wstąpiłem do PPR. Przyjęty zostałem do partii na Widzewie, gdzie mnie wszyscy znali, gdzie wyrosłem i uczyłem się politycznej wiedzy. Później zostałem delegatem Związku Pracowników Gospodarki Komunalnej i sekretarzem koła PPR. Mogłem pracować wśród ludzi i dla ludzi. To mnie bardzo pociągało. Każdy człowiek jest przecież inny, a wszyscy razem mamy tworzyć jedno, dążyć do jednego celu. Wtedy nie wszyscy to rozumieli. Nasz wspólny cel nie wszystkim był bliski. Wielu go nie aprobowało. Trzeba było ich przekonać. Pokazać, gdzie leży przyszłość, że komuniści podjęli trud przeobrażenia Polski dla nas wszystkich, w interesie całego narodu, i że dla Polski innej drogi nie ma. To była trudna, ale jakże piękna praca.

Zaproponowano mi, abym został instruktorem Komitetu Łódzkiego PPR. Zaskoczyło mnie to. Nigdy nie myślałem, że mógłbym pracować w instancji partyjnej. Zgodziłem się. Było to dla mnie wyróżnienie, uznanie tego, co do tej pory robiłem. A tu jeszcze zbliżał się Kongres Zjednoczeniowy, roboty było mnóstwo. I to nie byle jakiej. Ciekawej, wręcz pasjonującej. Ani nie pomyślałem wtedy, że oto w jakiejś drobnej cząsteczce biorę udział w tworzeniu historii. My zresztą nieustannie bierzemy udział w tworzeniu historii, ale nie zdajemy sobie z tego sprawy. Tak to już jest. Ale wtedy czas miał szczególne znaczenie. Do dziś chętnie wspominam tamte czasy, jako okres wielkich przeżyć. Uczyłem się wtedy polityki, politycznego myślenia, działania.

A potem przyszedł czas działania samodzielnego. W 1949 roku kierownictwo Komitetu Łódzkiego PZPR zarekomendowało mnie na I sekretarza Komitetu Dzielnicowego Śródmiejska-Lewa. Była to wówczas łuża dzielnica. Obejmowała część dzisiejszego śródmieścia, leżącego po lewej stronie ulicy Piotrkowskiej, patrząc w stronę placu Niepodległości. Znajdowało się w tej dzielnicy kilka fabryk, wyższych uczelni, instytucji kulturalnych. Kierowałem więc życiem politycznym tak dużej części dużego miasta. Po roku zostałem powołany do pracy w Komitecie Łódzkim PZPR jako kierownik wydziału organizacyjnego.

Nie jest moim celem ocena tamtego okresu naszego 35-lecia. Dzielę się tylko moimi doświadczeniami. Oceną zajmą się historycy, którzy zbadają dokumenty, poznają źródła i dokonają syntezy tego fragmentu naszych dziejów. Dla mnie był to okres nieustannych zmian i rozlicznych zadań. W 1952 roku KC PZPR rekomendował mnie do Poznania, gdzie zostałem wybrany I sekretarzem Komitetu Miejskiego i członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W grudniu 1953 roku wróciłem do Łodzi i zostałem najpierw sekretarzem do spraw ekonomicznych a później organizacyjnych Komitetu Łódzkiego PZPR. Zobaczyłem i poznałem wiele. Ciągle się uczyłem patrzeć i oceniać politycznie. Ciągle działałem wśród ludzi i to dawało mi satysfakcję. Znalazłem się w pierwszej linii tych, którzy dokonywali przeobrażeń powojennej Polski, tworzyli nowy jej kształt. Czy wszystko robiliśmy dobrze? Czy nie popełnialiśmy błędów. Przysłowie mówi, że nie błądzi tylko ten, kto nic nie robi.

Potem przyszedł rok 1956. Zostałem przewodniczącym Komisji Kontroli Partyjnej w Łodzi. Mieliśmy wtedy wiele pracy. Ludzie popełniali błędy i ludzie musieli je naprawiać. Trzeba było wiele spraw prostować, rewidować oceny i opinie. Przywracać członkom partii ich prawa. Bronić niektórych przed niesprawiedliwymi oskarżeniami. Ale też pozbywać się tych, którzy przyszli do partii z przypadku, z wyrachowania, dla kariery. To była trudna praca. Ale działałem wśród ludzi i to dawało mi siłę do poszukiwań właściwych rozwiązań.

Nasza trudna praca pozwalała wielu ludziom śmiało patrzeć w przyszłość, iść dalej przez życie z podniesionym czołem. Wciągała mnie ta praca bez reszty, pochłaniała.

W 1959 roku Komitet Centralny partii rekomendował mnie do pracy partyjnej w Lublinie. Zostałem tam wybrany sekretarzem organizacyjnym Komitetu Wojewódzkiego. Po roku znów wróciłem do Łodzi. W Komitecie Wojewódzkim PZPR w Łodzi zostałem sekretarzem do spraw ekonomicznych. Funkcję tę pełniłem do 1968 roku. Wtedy przeszedłem do pracy w przemyśle. Zostałem dyrektorem w ZPW im. P. Bardowskiego. Od 9 lat jestem dyrektorem ZPW 9 Maja w Łodzi. Ale nie przestałem być działaczem partyjnym. Na ostatniej dzielnicowej konferencji partyjnej Śródmieścia zostałem ponownie wybrany członkiem egzekutywy KD.

Kiedy redakcja tygodnika „Odgłosy" zwróciła się również do mnie z propozycją, abym wypowiedział się w ankiecie: „Moje 35-lecie", przyznaję, że nie bardzo miałem na to ochotę. Działacze partyjni na ogół nie lubią wypowiadać się o sobie, o tym co robią. A ja przecież przed 20 laty byłem funkcjonariuszem partyjnym i nadal — jak już wspomniałem — jestem działaczem. Uczestniczyłem w pracach wielu organizacji społecznych. Przez 8 lat byłem członkiem Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej. Byłem delegatem na II i III Zjazd PZPR, jako gość brałem udział w obradach IV i V Zjazdu partii. To wszystko przypomniałem sobie, zastanawiając się, co napisać w odpowiedzi na propozycję „Odgłosów".

Jestem już w tym wieku, kiedy człowiek coraz częściej spogląda w przeszłość, zastanawiając się nad tym, co w życiu zrobił, co osiągnął. Za kilka lat przyjdzie mi, naturalną koleją losu — jak to się ładnie mówi — odejść na zasłużony odpoczynek. Ale nie patrzę z niepokojem w tę przyszłość, bo jestem pewny, że znajdę w niej dla siebie miejsce, że nadal będę mógł działać. Każdy bowiem, kto jest w pełni sił, chce się czuć potrzebny, a cóż dopiero mówić o ludziach, których treścią życia było i jest nieustanne działanie, czynny i twórczy stosunek do życia. Myślę, że moje doświadczenie partyjne i życiowe przyda się jeszcze innym, jeśli zechcą z niego korzystać.

Zapytano mnie kiedyś, czy gdybym drugi raz zaczynał swoje życie, to czy byłoby ono takie samo? Odpowiedziałem, że tak, choć zdaję sobie sprawę z tego, że jest to w istocie niemożliwe. Nikt z nas nie ma drugiego życia. Ale odpowiadając na takie pytanie, może zastanowić się nad tym, jak przeżył to życie, które ma.

Pewnie, że byłbym teraz mądrzejszy o te wszystkie błędy, które kiedyś popełniłem. Ale nie mam gwarancji, czy nie popełniłbym innych. Błądzenie jest prawem ludzi, którzy chcą coś robić, działać, pod warunkiem wszakże, że potrafią te błędy naprawiać, że stać ich na wycofanie się w porę z błędnych decyzji czy postanowień.

Jestem daleki od przeceniania tego, co w życiu zrobiłem. Ale jest mi przyjemnie, kiedy czytam lub w inny sposób dowiaduję się, że fabryki, jakie budowano lub modernizowano w dawnym województwie łódzkim odnoszą dziś sukcesy, dalej się rozwijają. Czuję się wtedy tak, jak rolnik, który zasiał ziarno, a ono teraz kiełkuje i wydaje plony. W tych plonach jest bowiem malutka cząstka mojej pracy, moich myśli. To daje satysfakcję. Pozwala patrzeć w przeszłość z przekonaniem, że nie zmarnowałem życia, że coś swoją pracą zrobiłem dla nas wszystkich, dla Polski.

Cieszy mnie to tak samo, jak dorobek fabryki, którą przyszło mi teraz kierować. Zmodernizowaliśmy w ostatnim okresie przędzalnię ZPW 9 Maja. Założyliśmy urządzenia klimatyzacyjne. Ale nie poprzestajemy na tym. Mamy program dalszej modernizacji. Program rozbudowy fabryki. Zamierzamy rozbudować wykończalnię i farbiarnię. Czeka na to cała załoga. Zamierzamy rozpocząć modernizację ośrodka wczasowo-rekreacyjnego w Sulejowie.

Z inicjatywy KD PZPR — Śródmieście powołana została Rada Dyrektorów, której zostałem przewodniczącym. To daje nam możliwość szerszego działania, współodpowiadania za całokształt spraw dzielnicy. A śródmieście Łodzi przeżywa teraz okres szybkiej modernizacji. Przyda się dzielnicy każda inicjatywa, każda pomoc. I przemysł śródmieścia może wiele zrobić dla tej części miasta. Takie stawiamy sobie zadanie w Radzie Dyrektorów. Nasze zamierzenia i nasze działanie spotyka się z aprobatą społeczeństwa.

Zacząłem swoją wypowiedź od czasów, daleko wybiegających w przeszłość, dalej niż nasze 35-lecie, bo tam tkwią jego korzenie. Kończąc wybiegam w przyszłość, bo tak to jest w życiu. Intencję redakcji „Odgłosów", inicjującą ankietę „Moje 35-lecie" rozumiem tak, że pokazując losy i doświadczenia poszczególnych osób, uczestników tej ankiety, chce ona pokazać, jak złożona, wielobarwna i wielowątkowa była nasza najbliższa przeszłość, że na dorobek Polski Ludowej złożyły się cząstkowe losy nas wszystkich. Każdy ma w tym jakąś cząstkę. To właśnie socjalistyczne przemiany w kraju pozwoliły nam realizować swoje cele, marzenia i zaspokajać nasze ambicje, a przez to też przyczyniać się do naszego wspólnego dorobku.

Jeśli więc moja wypowiedź skłoni czytelników do refleksji nad udziałem każdego z nas w kształtowaniu naszej przeszłości, tak jak wypowiedzi tych, którzy wypowiadali się w „Odgłosach" przede mną, to będzie to jeszcze jedna satysfakcja, że dobrze przeżyłem swoje życie. A nie zawsze głaskało ono nas po głowie. Byliśmy jednak i jesteśmy wierni naszym ideałom.

FASZYZM — CO TO TAKIEGO?

Pytanie, zawarte w powyższym tytule, na pierwszy rzut oka wydaje się absurdalne. Jak to, pytać nas, którzyśmy na samych sobie doświadczyli tego, czym rzeczywiście był faszyzm, pytać nas o faszyzm, co to było takiego? Czy nie zakrawa to na kpinę? A jednak pytanie to jest nie tylko uzasadnione, ale ważne i aktualne. Z dnia na dzień wiemy coraz lepiej, jaki był faszyzm — hitlerowski, włoski i inne — w działaniu: tysiące historyków z różnych krajów gromadzą wciąż rosnącą dokumentację w tej sprawie. Ale pytanie, jaki był faszyzm, nie jest tożsome z pytaniem: czym był on rzeczywiście. Co się zaś jego tyczy, odpowiedzi na nie jest setki, tylko trudno znaleźć wśród nich taką, która nie budziłaby poważnych wątpliwości i mogła zostać przyjęta za rzeczywiście adekwatne określenie zjawiska, któremu na imię faszyzm.

Trudno odmówić racji amerykańskiemu politologowi Jamesowi A. Gregorowi kiedy pisze on: *współczesne nauki społeczne nie zapewniły nam jasnej definicji faszyzmu. Zbyt wielu historyków nie jest zdolnych do wypracowania lub udowodnienia uogólnień, które pozwoliłyby powiązać razem ich opowieści. Bardziej zaś teoretycznie ukierunkowani badacze problemów społecznych stworzyli wiele „teorii" faszyzmu które wydają się zawierać błędy szczegółowe i jedynie częściowo są do obrony w zarysie ogólnym.*

Można nawet żywić uzasadnione wątpliwości, czy w ogóle jest możliwe zbudowanie jakiejś wszechobowiązującej definicji faszyzmu takiej, która by ogarnęła wszystkie jego przypadki w samym zróżnicowaniu, a zarazem zwróciła uwagę na jego cechy, które można by uznać za typowe. Myślę, że na obecnym etapie badań nie całkiem zestarzał się sąd, wypowiedziany jeszcze w 1938 r. przez Angelo Tasca: *Naszym zdaniem, zdefiniować faszyzm — to przede wszystkim napisać jego historię. (...) Teoria faszyzmu może (...) wyłonić się tylko z analizy wszystkich jego przejawów, ukrytych lub jawnych tłumionych lub triumfujących. W istocie, jest wiele rodzajów faszyzmu i każdy z nich zawiera w sobie różnorodne, niekiedy sprzeczne tendencje; mogą one przeobrażać się drogą ewolucji, aż do zmiany niektórych swych cech zasadniczych. Zdefiniować faszyzm, to uchwycić tę jego zmienność, wyłowić jego „różnice specyficzne" w danym kraju i w określonej epoce. Faszyzm nie jest podmiotem i nie wystarczy opisać jego cech. Jest on wynikiem całokształtu pewnej sytuacji, od której nie można go oddzielić".*

Nasza historiografia współczesna, która ma obfity i znaczący dorobek w badaniach nad faszyzmem — w szczególności hitlerowskim — i dostarczyła wielu ustaleń, co się tyczy różnych stron jego praktyki, z rzadka jak dotąd stawiała sobie ogólniejsze pytanie o istotę i charakter faszyzmu jako takiego. Często — co się tyczy tej sprawy — zadowalała się powtarzaniem takich lub innych, sformułowanych już wcześniej definicji faszyzmu — jak np. sławnego określenia, sformułowanego w połowie lat trzydziestych przez Międzynarodówkę Komunistyczną o faszyzmie, jako ultrareakcyjnej i szowinistycznej dyktaturze kapitału finansowego — nawet, wówczas, kiedy zebrany przez nią materiał historyczny uprawniał do ich krytycznej weryfikacji. Niewiele tej przetłumaczono u nas prac obcych, poświęconych tej problematyce, chociaż przełożyć można było ich wiele: w światowej literaturze naukowej istnieją bowiem liczne, pisane z najrozmaitszych pozycji, ambitne próby budowania teorii faszyzmu, wydawane są monografie i antologie najważniejszych tekstów itd. Dopiero w ostatnich latach sytuacja poczęła u nas ulegać zmianie, zarówno co się tyczy naszych własnych badań, jak i tłumaczeń z obcej literatury. Przed trzema laty mieliśmy okazję omawiać na tym miejscu świetną książkę włoskiego historyka Renzo de Felice *Interpretacje faszyzmu,* **która była z pewnością wydarzeniem na naszym rynku wydawniczym. W przedmowie do tej pracy znany historyk Jerzy W. Borejsza zapowiadał wydanie niebawem w** *Czytelniku* **antologii obcojęzycznych tekstów pt.:** *Faszyzmy europejskie w oczach współczesnych i historyków 1918—1945.*

I oto właśnie mamy tę antologię przed sobą: wydaną pod zapowiedzianym przed trzema laty tytułem nakładem *Czytelnika* **(1979), w cenionej serii** *Panorama,* **w której ukazało się już kilka bardzo interesujących tomów. Antologia J. W. Borejszy jest bardzo obszerna: obejmuje ponad 700 stron tekstu, ale mimo to jest tylko bardzo selektywnym wyborem tego, co można było do niej włączyć. Wydawca zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że — jak pisał o tym we wstępie —** *sprządzenie polskiej antologii obcych tekstów o faszyźmie jest zadaniem nader skomplikowanym. Przede wszystkim dlatego, że ma to być pierwszy tego rodzaju wybór w Polsce. Polska historiografia może się pochlubić dużymi osiągnięciami w dziedzinie badań nad okupacją hitlerowską czy systemem prawa Trzeciej Rzeszy. Natomiast odczuwa się brak prac tłumaczonych i oryginalnych właśnie typu syntez i interpretacji.* **Pod tym względem nasza sytuacja nie jest porównywalna czy to z Niemcami, czy z Włochami bądź krajami anglosaskimi,** *gdzie ogłoszono drukiem wiele cennych antologii, poczynając jeszcze od okresu przedwojennego.*

J. W. Borejsza tłumaczy się przed swymi czytelnikami, dlaczego nie włączył do swojej antologii takich bądź innych ważnych i ciekawych tekstów. Pominął on całkowicie teksty, które wyszły spod pióra ideologów, polityków czy historyków o orientacji faszystowskiej. Ograniczenie to znaczne i dotkliwe, chociaż z pewnością przyznać trzeba rację uczonemu, kiedy powiada on, że *problem faszystowskiej samoświadomości faszystów* **wymagałby obszernej dokumentacji i skrupulatnej analizy, która rozsadziłaby przygotowany przezeń tom. J. W. Borejsza nie włączył do swej antologii także i innych, istotnych tekstów, nie tylko tych, które — jak sławne dzieło Ericha Fromma** *Ucieczka od wolności* **— są dostępne w języku polskim. Uczynić to jednak musiał, jeśli chciał zamknąć swoje wydawnictwo w jakimś rosądnym rozmiarze. I tak antologia rozrosła się bardzo znacznie.**

Znacznie ważniejsze jednak niż to, czego w antologii nie ma, jest to, co ona obejmuje. Znalazło się tu bardzo wiele tekstów znanych dotąd raczej ze słyszenia, niż z autopsji — jak np. obszerne fragmenty sławnej pracy Wilhelma Reicha *Psychologia masowa faszyzmu z 1933 r.* **— i sporo nieznanych właściwie zupełnie, poza kręgiem specjalistów. Większość włączonych do antologii prac musiało znaleźć się tu w wyborze — są to bowiem fragmenty znacznie obszerniejszych dzieł, których w całości ogłosić nie było tu można. Fragmenty wybrane przez J. W. Borejszę są jednak dostatecznie długie i istotne, zaś opuszczenia skrupulatnie zaznaczone przez wydawcę, tak że nie przeszkadza to czytelnikowi w zapoznaniu się z poglądami prezentowanego autora.**

Trudno oczywiście byłoby oczekiwać, by po przeczytaniu tej arcyciekawej antologii czytelnik miał od razu jasny pogląd na to, co to takiego był faszyzm. Myślę jednak, że śledząc sukcesy i potknięcia różnych intelektualistów i działaczy, poszukujących adekwatnej definicji zjawiska faszyzmu, zrozumie lepiej sens i potrzebę podobnych poszukiwań.

Faszyzm — powiada J. W. Borejsza na wstępie do swej antologii — *wymaga dogłębnej analizy i powszechnej znajomości nie tyle z uwagi na ruchy jawnie faszystowskie, które stanowią raczej tylko margines życia politycznego w Europie. Musimy go poznawać przede wszystkim dlatego, że faszyzmy z lat 1919—1945 są genealogią teraźniejszości.* **Winniśmy się nimi interesować także i z tego powodu, że faszyzmy w swej** *klasycznej* **— niemieckiej czy włoskiej postaci —** *stanowią utajony wzorzec dla niejednego ruchu i systemu państwowego, które się oficjalnie od nich odżegnują.*

ANDRZEJ F. GRABSKI

Z POTRZEBY CHWILI

Dalszy ciąg ze str. 1

Naczelnik Bartczak administruje w dawnym budynku administracyjnym służby dworskiej, z dala od drogi, za remizą strażacką Byłby „rezydował" w pałacyku, ale ten spalił się podczas okupacji. Są już wykopane fundamenty pod nowy budynek dla urzędu gminy. Najpierw doprowadził do opracowania planu zagospodarowania przestrzennego Zapolic i dzięki temu przy drodze prezentuje się okazale szkoła i bloki mieszkalne. Nie zdążył zapobiec postawieniu remizy OSP przed urzędem gminy.

Naczelnik urzęduje na terenie byłego parku dworskiego i pewnie dlatego niektórzy starzy rolnicy chcieliby mu robić na złość, jak niegdyś dziedzicowi. Nic dziwnego, większość wsi powstała tutaj z parcelacji. Wszystkich wsi jest 23, a gospodarstw 1,076, rozdrobnionych, średnio po 5 ha.

Naczelnik rośnie we władzę, od stycznia będzie miał wydział komunikacji i wydział zatrudnienia. Z tym, że ani dodatkowych pomieszczeń, ani etatów nikt mu nie daje. Ostatnio naczelnika nękają różne kontrole, ale on to przeżyje. Nie na darmo przez kilkanaście lat pracował w służbie rolnej. Od 1973 roku jest naczelnikiem w Zapolicach. A oto, jak Józef Bartczak motywuje tezę, że tylko dobra SKR może mu pomóc w przezwyciężaniu kłopotów.

— *Gmina ma specyficzny charakter: jest absolutnie pozbawiona przemysłu i leży w pobliżu miasta. Ludzie uciekają ze wsi. Ba, wcale nie muszą uciekać, bo zabierają ich autobusy. A ziemia leży. Zagospodarować może ją tylko SKR. W tej chwili SKR przejęła już 520 ha. W związku z powszechnością rent i emerytur ziemia będzie teraz szybko „spływać" i w 1985 roku SKR zajmie około 2.000 ha na 4,5 tys. użytków rolnych w gminie.*

— *I dadzą sobie z tym radę?*

— *No, teraz jest to w 150 kawałkach. Ale w Boleniu i Młodawiu Dolnym poszła już komasacja. Potem ruszy w następnych czterech sołectwach: w Paprotni, Ptaszkowie, Rojkowie i Młodawiu Górnym. Mam jednak taką wieś, gdzie 40 ha będzie leżeć odłogiem. I nie zmuszę SKR, żeby się tym zajęła, bo tam nie ma dojazdu. Po prostu nie ma mostu. Ale cholera wie, może oni kiedyś ten most zbudują? Muszę w nich wierzyć, nie na próżno zmieniałem poprzednią dyrekcję.*

— *A dlaczego pan zmienił?*

— *Z potrzeby chwili. Były skargi na złe wykonywanie usług, między innymi..*

— *Teraz już nie ma?*

— *Nie ma. Z początku były trudności, np. z hodowlą zwierząt, gdyż brakowało bazy. Teraz SKR ma własne przedsiębiorstwo budowlane. Zbudowali owczarnię za 18 mln zł, długą na 110 m, w której się pomieści 2 200 owiec. W Marcelowie zbudują bukaciarnię na 1.100 byczków. Myślą o stworzeniu zaplecza mechanizacyjnego i budynku socjalno-administracyjnym. A jeśli chodzi o usługi, to niech świadczą o tym chociażby kombajny. Nasze kombajny w ubiegłym roku zajęły II miejsce w kraju, a w tym roku — I miejsce w województwie. Ja z poprzednią dyrekcją nie mogłem znaleźć wspólnego języka. A potrzeby nagliły. Przede wszystkim zagospodarowanie ziemi, bo połowa rolników wchodzi w podeszły wiek, a młodzi pryskają do miasta. No, i konieczne były inwestycje, które by wyciągnęły gminę i same Zapolice ze stagnacji. Dzięki pomocy SKR w przyszłym roku zakończymy budowę trzech bloków mieszkalnych. Murarza, posadzkarza, czy malarza trzeba teraz szukać ze świecą. SKR ma takich fachowców i oni wykonują roboty wykończeniowe: podłoża pod podłogi, tynki, podłogi, malowanie itp.*

Naczelnik powiedział, że bloki są przeznaczone dla podstawowej kadry gminnej. Mieszkania to szansa na ściągnięcie dobrych fachowców nie tylko do urzędu gminy. To także zatrzymanie w SKR najlepszych „mózgowców" Przykład: w tych dniach sprowadza się ze Zduńskiej Woli do M-4 (ponad 60 m kw.) w Zapolicach Leszek Sadowski, jeden z rewelacyjnych młodych konstruktorów, którego chciano skaperować na dyrektora w województwie. Tylko, że w tym przypadku nie zadecydowało samo mieszkanie...

Na terenie bazy Spółdzielni Kółek Rolniczych jest trochę bałaganu i od cholery błota. Ale nic dziwnego, oni wciąż się budują, kładą nowe drogi. Nikt im uroczyście nie otwierał gotowego zakładu. Zamiast klucza na poduszce dostali jedną szopę i starą stodołę. Żeby wprowadzić do produkcji nowe konstrukcje, musieli najpierw zrobić prototyp, a dopiero potem dostali środki. Teraz postawili sobie halę montażową za 5 mln, mają też własną narzędziownię, w której dorabiają potrzebne części.

Dyrektor naczelny, Kazimierz Kurowski, ubrany w obcisłą młodzieżową skórzaną kurtkę, jest człowiekiem młodym, energicznym pogodnym, o wesołych, ciemnych oczach i ciemnych włosach Jakby dla podtrzymania równowagi i atmosfery powagi dyrektor do spraw rolnych, Zdzisław Sobieraj, włosy ma niemal białe, ale za to bujne, i wcale nie jest stary, a humorem nie ustępuje naczelnemu. Kurowski mówi, że te ich wszystkie „wariackie" pomysły zrodziły się z... potrzeby chwili. Nie dziwię się słysząc to po raz wtóry. Potwierdza się stare porzekadło, iż potrzeba jest matką wynalazków. Otóż, kiedy przed trzema laty były niezwykle mokre żniwa i kombajny topiły się w polu, oni jako pierwsi w Polsce założyli koła bliźniacze i ich kombajny pracowały. A potem siedzieli po nocach zakładając koła bliźniacze do kombajnów z innych gmin. Nikt nie przeliczył, ile dzięki temu uratowano zboża.

Po tamtym pomyśle przyszły inne i tak wyłoniła się w Zapolicach grupa przyszłych młodych mistrzów techniki i laureatów nagrody województwa sieradzkiego, znanych już także z anteny ogólnopolskiego programu telewizji: Leszek Sadowski — kierownik warsztatu, z zawodu technik mechanik, inż. Krzysztof Bączkowski — główny mechanik, Henryk Kroczyński — kierownik zakładu usług budowlanych, technik budowlany oraz ślusarz Mieczysław Wypych — mistrz narzędziowni.

— *Osobiście najbardziej cieszy mnie nasza betoniarnia ciągnikowa* — mówi Zdzisław Sobieraj. — *Jest to rewelacyjna maszyna, która pracuje już od dwóch lat i to bez żadnej nawalanki. Betoniarki stojące mają pojemność 350 l, nasza ma pojemność 1 m sześc. Najważniejszą jej zaletą jest to, że można wszędzie nią dojechać. Podłączając ją do ciągnika gąsienicowego wjedzie się także na teren bagnisty. Można nią pracować tam, gdzie nie ma elektryczności. Można posługiwać się tą betoniarką w melioracji, przy budowie jazów i upustów. Dyrektor naczelny zgodził się na zbudowanie betoniarki, chociaż ryzyko było duże, bo koszt wynosił około 200 tys. zł. Gdyby nie wyszło, poleciałyby premie. Wyszło jednak i betoniarka szybko się spłaciła. Ze względu na koszty betoniarkę mogłyby kupować w zasadzie tylko przedsiębiorstwa. Zleceń jest bardzo dużo, ale nam brak możliwości. Nie mamy także blachy, stali profilowej. I dlatego od dwóch lat posiadamy tylko jedną betoniarkę. Zakładając, że w kraju potrzebne by było 10 tys. takich maszyn, to czy jest sens budowania dużego zakładu, który by je produkował?*

Oczywiście, że nie ma sensu tworzyć w tym celu wielkiej inwestycji. Ale tak już jest, że na szczycie resortowym słabiej się widzi małe zakłady, chociażby nawet produkowały rzeczy cenne, poszukiwane. Co innego władze wojewódzkie. Tam są dobrzy gospodarze, toteż inicjatywa konstruktorów z Zapolic przeszła bez zgrzytów. Znaleźli przychylność i zrozumienie, bo w województwie uwierzyli, że oni zrobią to, co zamierzają.

Zapytałem Zdzisława Sobieraja, czy, skoro zapędzili się już tak w mechanizację, to nie przeszkadza im w tym uprawa ziemi, w dodatku poważnie rozdrobnionej. Dyrektor uśmiechając się, odparł, że rozumie, iż pytam o to w sensie generalnym, za co on nie może odpowiadać. Osobiście i służbowo hodowla i uprawa ziemi mu nie przeszkadza. A potem wyjaśnił:

— *Jeśli ziemia wciąż „spływa", a w gminie nie ma ani pegeeru, ani spółdzielni produkcyjnej, to jedynym gospodarzem jest SKR. Można by utworzyć spółdzielnię produkcyjną, ale kto będzie pracował? Ludzie przechodzący na emeryturę? Faktem jest, że przejmujemy ziemię zaniedbaną, która od dziesiątków lat nie była nawet wapnowana i nie znała nawozów. Musimy z tego względu uprawiać więcej zboża. Faktem jest także, że raz kombajnista skosił przez pomyłkę żyto u chłopa, bo trudno się połapać w tych kawałkach. Niedługo będziemy mieć 2.000 hektarów. Myślę, że koledzy nie będą dla mnie budować helikoptera, żebym mógł kierować traktorzystów do właściwych działek, bo przecież w końcu ziemię się skomasuje...*

Dyrektor Henryk Kurowski mówi, że niektórzy twierdzili, iż oni nie dadzą sobie rady z nowym typem przetrząsacza do siana. Ale oni się uwzięli i zrobili. Jak nie robić, kiedy rolnicy nie mogą dostać zwykłego przetrząsacza konnego? To znowu potrzeba chwili. Pomysł był sensowny, biorąc pod uwagę fakt, że rolnicy będą otrzymywać coraz więcej ciągników. W tej chwili w gminie Zapolice u rolników jest 58 ciągników, a są gminy, gdzie jest ich po 300. Oni tu wyliczali sobie, że jeśli w Polsce jest 40 tys. wsi, to gdyby tylko na każdą wieś dać jeden przetrząsacz ciągnikowy... Wszystko jasne!

— *Zapotrzebowanie na przetrząsacze jest wprost nieograniczone* — mówi Kurowski. — *Biorą je pegeery i rolnicy indywidualni według rozdzielnika wojewódzkiego. W tej chwili mamy kilka przetrząsaczy w zapasie, ale wiosną nie nadążymy z produkcją. W tym roku zrobiliśmy 300 przetrząsaczy, w przyszłym chcemy to podwoić. Nie mamy rozdzielnika na przydział materiałów, liczę więc na moich dobrych zaopatrzeniowców, którzy ganiają za wszystkim po kraju. Produkować musimy, bo jak naczelnik w gminie Wróblew postawił przetrząsacz dla reklamy obok urzędu, nie mogliśmy się opędzić od chętnych. W gminie Dobroń, gdzie specjalizują się w hodowli bydła, zakupiono 14 przetrząsaczy. Ostatnio zdarzyło się coś znamiennego. Rolnik po długich oczekiwaniach otrzymał przetrząsacz konny. Przyszedł do mnie, obejrzał ten nasz ciągnikowy i kupił go, bo uznał, że jest lepszy. Ale korzyści płynące z tego, co robimy w SKR nie da się przeliczyć tylko na złotówki. Zatrudniamy 200 osób, dzięki czemu o cztery autobusy mniej odjeżdżają do Zduńskiej Woli. Chłopo-robotnicy, pracując na miejscu, nieźle sobie radzą z gospodarstwami. Gdyby Kroczyński, kierownik naszej „budowlanki", zaczął świadczyć usługi w odległych gminach, ludzie by mu się z miejsca pozwalniali...*

Leszek Sadowski, młody człowiek w przyciemnionych okularach, z gęstymi, lekko przyprószonymi szronem włosami, jest w Zapolicach głównym pomysłodawcą. W dowód uznania otrzymał skierowanie na studia, bez egzaminów wstępnych. W przyszłym roku podejmie studia zaoczne w Bydgoszczy.

— *Wie pan, trzeba było zrobić coś takiego, czego nie było. Będąc na wycieczce w NRD widziałem potężne, skomplikowane maszyny do siana. To nie to. Tam zresztą zrezygnowano z tych maszyn, bo w NRD przestawiają się na inny rodzaj pasz. U nas brakowało przetrząsaczy konnych, które ponadto są mało doskonałe. Ciągnikowe maszyny do siana produkuje tylko Darłów, ale one z kolei tylko dobrze zagrabiają. Rozpętała się więc „burza mózgów" i narodził się kształt przetrząsacza podobnego do konnego, ale z napędem ciągnikowym. W urządzeniu konnym intensywność przetrząsania była mała. Zależała od szybkości konia. Np widły wykonywały jeden ruch na 1 m. Ale przy większej szybkości także obracały się tylko raz. W naszym przetrząsaczu nie ma poślizgu, można regulować intensywność przetrząsania. Poprzez skrzynię przekładniową ciągnika można przy stałej prędkości uzyskiwać różne obroty wałka przekaźnikowego...*

— *To także robiliście z potrzeby chwili?*

— *A co pan myślał? Przetrząsacz musiał być gotowy na drugi zbiór siana! Nie mieliśmy materiałów, urządzeń, maszyn i wszystko robiło się ręcznie. W ciągu dwóch tygodni wykonaliśmy po godzinach prototyp. Za poligon doświadczalny służyła łączka jednego z pracowników. Na łączkę wyszła cała załoga. No i przetrząsacz sprawdził się nam znakomicie. On jest o wiele większy od konnego, ma trzy i pół metra szerokości...*

— *Teraz chodzi pewnie coś nowego po głowie?*

— *Zgrabiarka. Chcemy tak usprawnić przetrząsacz, żeby mógł przetrząsać i zgrabiać. A do tego przydałby się ładowacz, który by zbierał siano na wozy. Myślimy o zmianie konstrukcji kosiarki rotacyjnej, bo tutaj jest straszna awaryjność. Warto by też usprawnić kosiarkę listwową. U nas wytworzyła się dobra atmosfera, myślę więc, że wiele jeszcze zdziałamy...*

Henryk Kroczyński, który najwięcej serca włożył w konstrukcję betoniarki ciągnikowej, sprawia wrażenie onieśmielonego. Ma miękkie, lekko kasztanowe włosy, mówi cicho, starannie dobierając słowa. Przeprasza, że nie chciałby się powtarzać, ale z tą betoniarką to była największa „potrzeba chwili". Otóż Kroczyński miał zbudować tę ogromną owczarnię. Miejsce odległe, mokre, teren nie uzbrojony, bez światła. Trzeba było położyć masę posadzek — w sumie 1 ha podłoża betonowego! W ciągu sezonu (3—4 miesiące) za pomocą łopat i taczek nie sposób tego dokonać. „Gruszka" na samochodzie odpadała. Kroczyński szukał w pismach i trafił na model włoskiej betoniarki o wydajności 0,5 m sześc. na godzinę. Niewiele, ale maszyna nie do zdobycia.

— *Pomyślałem, że skoro mamy dużo ciągników, które w pewnym czasie nie mają co robić, to czy nie udałoby się sprzęgnąć betoniarki z ciągnikiem? Dyrektor przyjął projekt. Przez luty i marzec zrobiliśmy maszynę. W niedzielę czynu partyjnego odbyła się inauguracja. Osiągnięto wszystkie parametry...*

— *A na czym polega ta rewelacyjność betoniarki?*

— *Pojemność 1 m sześc., wydajność do 4 m sześc. na godzinę, z dowozem na odległość 150 m. „Gruszki" na samochodzie nie wymyje się do końca, co parę dni muszą wchodzić tam „dzięcioły" i odbijać zakrzepły beton. Nasza ma taki przechył, że wymywa się do czysta. Posiada koło bliźniaczo podwójne na jednej osi i można ją podłączać niemal do wszystkich typów ciągników. A najważniejsze, że można nią wjeżdżać do budynku halowego...*

Czytelnikowi należy się pewne wyjaśnienie. Kiedy na budowę przyjeżdża „gruszka", beton wylewa się do taczek, które ludzie muszą rozwozić po hali, żeby położyć posadzki. Najczęściej jednak na budowach beton rozwozi się wywrotkami, a wtedy wskutek wstrząsów materiał rozwarstwia się i trzeba go przerabiać od nowa. Betoniarka z Zapolic eliminuje ciężką pracę dziesiątków ludzi, a przez to zyskuje się także na czasie.

A dalej — sprawa magazynowania. Dzięki betoniarce nie muszą leżeć w każdym gospodarstwie kupki żwiru, szlaki, cementu. Rolnik płaci, a SKR bierze ze swego magazynu materiał i przywozi mu już gotowy beton, który może dostarczać na odległość 10 km To pozwala budować szybko nie tylko domy, ale przede wszystkim duże obory specjalistyczne, chlewnie i owczarnie.

Operator betoniarki wszystkie czynności wykonuje nie wysiadając z kabiny W ciągniku nie instaluje się nic dodatkowego, natomiast 90 proc. zespołów (części) do betoniarki wykonywanych jest w warsztacie. To samo dotyczy przetrząsacza w którym 90 proc. części stanowią zespoły wykonane we własnym zakresie. Kupuje się tylko po 2 łożyska toczne oraz śruby i podkładki. W Zapolicach nie ogołacają rynku z potrzebnych dla rolnictwa części zamiennych.

A więc oni jak gdyby wyprzedzili to, co później zostało zawarte w tezach na VIII Zjazd. Zagospodarowują każdy kawałek ziemi, dostarczają maszyn, które są gwarancją modernizacji oraz intensyfikacji rolnictwa, stwarzają w gminie warunki zbliżone do warunków życia w mieście (chociażby osiedle mieszkaniowe). W ten sposób zatrzymują także młodych ludzi na wsi, a że jest to problem istotny, świadczy o tym wypowiedź I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka, na spotkaniu z rolnikami w Mońkach.

Ponadto w Zapolicach oszczędzają czas i materiały. Przykład: „Vistula" przeznaczona do kasacji. Oni nie dali tego kombajnu na złom. I znów była to inicjatywa Sadowskiego. Wymontowali silnik, doprowadzili do stanu używalności i wyłączenia prądu nie są już dla nich groźne, bo mają własny agregat prądotwórczy. Jak przyjdzie strzyc 1.000 owiec, to jest czym.

Albo sprawa, którą dopiero pod koniec spotkania pochwalił się Kroczyński. Ażeby złożyć z gotowych elementów owczarnię, potrzebne są dwa specjalne dźwigi i 300 m kw betonowego podłoża. Nie było ani dźwigów, ani drogi betonowej. Po prostu zbudowali przejezdne rusztowanie na kółkach, coś w rodzaju wózka montażowego i przy pomocy zwykłego ładowacza rolniczego typu „Cyklop" wznieśli konstrukcję całej owczarni. Pomijając fakt, że dźwigów i tak by nigdzie nie dostali, zaoszczędzili milion złotych. Tak, tak! Bo to te podłoża betonowe po zakończeniu budowy rozwala się młotami...

Wyjeżdżając z Zapolic, zwróciłem uwagę na budującą się stację paliw SKR Będą z niej korzystać wszyscy mieszkańcy gminy. Jeżeli za coś wezmą się mądrzy ludzie, to okazuje się, że SKR nie musi być wcale kulą u nogi i przedmiotem zmartwienia naczelników gmin.

— *Chcieli mi zabrać Sadowskiego* — powiedział dyrektor Kurowski — *był także zamach na Bączkowskiego.*

— *I jak ich pan zatrzymał?*

— *Dołożyłem im do pensji.*

— *Zaraz, zaraz!* — przerywa Bączkowski. — *Niech pan tego nie bierze dosłownie. Dyrektora Kurowskiego też chcieli stąd zabrać. Ale on by sam nie odszedł, ani nas by nie puścił. Nie boi się ryzyka. To zapaleniec! Ma takie „wiertełko" i bez przerwy nas podkręca: „Myślcie, kombinujcie, chłopaki!"*

Inż. Bączkowski, młody, smagły, ciemnooki, mówi z humorem, że teraz też myśli, ale o nowym krawacie, bo jak tu bez krawata pokazać się w Pałacu Kultury. Obaj z Sadowskim jako wojewódzcy mistrzowie techniki zostali zaproszeni do Warszawy na spotkanie z kierownikami resortów.

— *Wie pan co?* — mówi Sadowski. — *Kaperownictwo to nie u nas! Bo nas nie zatrzymuje tutaj sama pensja, albo mieszkanie. Jest fajna atmosfera, my się tutaj lubimy i potrzebujemy wzajemnie. Gdyby nas pozabierali, w pojedynkę byśmy zginęli. Żeby coś dobrego zrobić, musi być zespół...*

Sami młodzi ludzie. Sympatyczni, bezpośredni serdeczni, skromni. Mało znani ludzie do dużych spraw, którzy z potrzeby chwili tworzą trwałe wartości. Pozostawiając swój ślad na ziemi w gminnych Zapolicach, utrwalają nowy obraz kraju nad Wisłą.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: Archiwum

W OBIEKTYWIE HANDLOWCA

rozmowa z mistrzem RYSZARDEM GAŁASIŃSKIM kierownikiem sklepu nr 1011 branży fotograficznej

„Ludzie kupują coraz częściej wyroby kosztowne i wysokiej klasy".
Foto: R. Łucyszyn

— Czy myślał pan kiedykolwiek o zmianie zawodu?

— Nigdy.

— Długo pan pracuje w handlu?

— Trzydzieści jeden lat.

— A w branży fotograficznej?

— Dwadzieścia pięć. Zacząłem jako sprzedawca.

— Kawał czasu.

— Rzeczywiście kawał. I ani razu nie widziałem siebie za biurkiem. Lubię mój zawód, lubię ruch w sklepie. Ale największą satysfakcję sprawia mi kontakt z ludźmi.

— Spojrzenie zza lady?

— Na pewno, ale nie tylko. Także uczucie zadowolenia ze sprawnego funkcjonowania wszystkich elementów składających się na działalność sklepu.

— W tym mieści się również szeroki asortyment towarów.

— To oczywiście także. Niestety, bywają okresowe trudności kiedy brakuje tych czy innych wyrobów z importu. Ale mamy za to coraz więcej własnych. krajowych i sądzę, że już niedługo będzie ich na rynku jeszcze więcej.

— Zawsze ma pan taki tłum kupujących?

— Tak. I to cieszy. Będąc kierownikiem sklepu nie zawsze mam czas, żeby stanąć za ladą, ale proszę mi wierzyć, każdą wolną chwilę chętnie spędzam w sklepie. Istota handlu polega na nawiązywaniu kontaktu między ludźmi, stojącymi po obu stronach lady. Wiedzieli już o tym starożytni Fenicjanie. Klientowi trzeba przekazać maksimum informacji o sprzęcie, który zamierza kupić. Na tej podstawie podejmuje on przecież decyzję wydania sporej nieraz kwoty pieniędzy.

— Umie pan połączyć sprawne zaopatrzenie sklepu z uprzejmą obsługą. Odnoszę też wrażenie, że ma pan więcej towaru niż inne sklepy fotooptyczne.

— Tylko w niektórych asortymentach i to nie zawsze. Ale za to staram się mieć go wcześniej. A czasem, kiedy mam braki w sklepie, przywożę towar moim samochodem. Gdybym nie miał własnego środka lokomocji, to bym przytachał towar tak czy inaczej. Lubię mieć w sklepie to, czego nie mają inni.

— Musi mieć pan sporo interesujących spostrzeżeń tak długo pracując w handlu...

— Trochę się uzbierało. Myślę nawet czasem, że gdybym miał talent, napisałbym dość ciekawą książkę. Podczas 31 lat pracy w handlu, na styku: „ja — klient", z ponad dwoma milionami nabywców. I dużo się nauczyłem. Stałe kontakty z kupującymi działają na mnie pobudzająco. Trudno by mi nawet wymienić dziś liczbę książek popularno-naukowych, i naukowych, które przestudiowałem, żeby poznać, na przykład, budowę i mechanizm działania kilkunastu typów obiektywów czy mechanizm działania aparatów fotograficznych od najprostszych po najbardziej nowoczesne i bardzo już skomplikowane. Albo zasad fotografowania i chemicznej obróbki materiałów negatywowych i pozytywowych. Strawiłem na to setki godzin wolnych od pracy. Dało mi to jednak moc zadowolenia i możność swobodnej wymiany poglądów na temat sprzętu fotograficznego i fotografowania z nabywcą mającym nawet duży zasób wiedzy z tej dziedziny.

— Nie dziwi mnie teraz, że ten sklep jest najlepszy w branży.

— Dziękuję za komplement.

— To nie jest komplement, po prostu fakt.

— Rzeczywiście, w 1967 roku udało nam się zdobyć pierwsze miejsce we współzawodnictwie pracy i utrzymujemy je do dnia dzisiejszego. Co roku jesteśmy wyróżniani dyplomami i nagrodami. Ale to nie tylko moja zasługa. Owszem, od pracy kierownika też zależy dobre funkcjonowanie sklepu, ale liczy się przede wszystkim wysiłek całego kolektywu. On częściej styka się z nabywcami niż kierownik, który siłą rzeczy jest bardziej zaabsorbowany zaopatrzeniem. Sprzedawca jest lepiej zorientowany w wymaganiach klienta, jego zastrzeżeniach i uwagach.

— Jest pan zadowolony ze swego zespołu?

— Bardzo. To ludzie dobrze przygotowani zawodowo, doskonale pracujący.

— Widzę tu same kobiety. Zdumiewa mnie, że pańskie koleżanki są tak dobrze zorientowane w przedmiocie. Kobiety na ogół nie przepadają za sprzętem mechanicznym.

— A jednak. Wszystkie dobrze fotografują, lubią swoją pracę i wywiązują się wzorowo z obowiązków sprzedawcy. A zorientowane są w sprzęcie fotograficznym na bieżąco, ponieważ prowadzimy, z własnej inicjatywy, wewnątrzsklepowe szkolenie zawodowe.

— Personel raczej stabilny?

— Tak, minimalna fluktuacja. Koleżanki: Wolnicka i Chrzanowska pracują w sklepie już kilka lat, niedawno ukończyły szkoły średnie i zajmują samodzielne stanowiska sprzedawców. To jest nasza młodzież. A z koleżankami: Haliną Łuczak, Krystyną Cichońską i Zofią Sulwińską pracuję już 13 lat. To bardzo doświadczone ekspedientki i mogę na nich polegać. W branży pracują ponad 20 lat.

— Jakie wnioski wysnułby pan z tych obserwacji?

— Przede wszystkim rzuca się w oczy stały wzrost dochodów ludności. To spostrzeżenie z mego podwórka mogę z czystym sumieniem uogólnić, ponieważ wiem od kolegów z innych branż, że ludzie kupują coraz częściej wyroby kosztowne i wysokiej klasy. W mojej branży rzuca się to szczególnie w oczy, bowiem sprzęt fotograficzny jest drogi. Na przykład nowoczesny aparat fotograficzny importowany z NRD kosztuje kilkanaście tysięcy złotych i poszła by każda ich ilość. Tak samo wysokiej klasy aparaty radzieckie, z doskonałą optyką, kamery filmowe, lampy błyskowe itp. Ludzie polują na ten sprzęt niczym myśliwi na grubego zwierza.

— Jak pan ocenia wyroby Polskich Zakładów Optycznych?

— Wysoko. Od 1970 roku dokonały dużego skoku w jakości swoich wyrobów. Najlepiej to widać na bardzo dobrych powiększalnikach i rozszerzanym z roku na rok asortymencie produkcji. Wymienię tu filtry, obiektywy do powiększalników różnych typów, maskownice, świetne koreksy, rzutniki półautomatyczne i — od kilku lat — automatyczne ze zdalnym sterowaniem ostrości, jasnym obiektywem i halogenowym oświetleniem oraz lornety z dobrą optyką, chętnie nabywane przez turystów. Do dobrych wyrobów zaliczyłbym także aparaty fotograficzne „Start 66 S". To naprawdę udany aparat i cieszy się dużym zainteresowaniem klientów. Szkoda tylko, że otrzymujemy ich tak mało.

— A ocena nabywców?

— Również pozytywna, bo wyroby są dobre, starannie wykonane, na co dzisiejsza klientela zwraca szczególną uwagę. Wyrób gdzieś zarysowany, ze skazą — z miejsca odpada. Uważam to za korzystne zjawisko, bowiem trend do kupowania wyłącznie dobrych wyrobów dopinguje przemysł do doskonalenia produkcji. Nabywcy są jednak nieraz zniecierpliwieni długim oczekiwaniem na nowości.

— Czy interesują się naszym sprzętem fotograficznym cudzoziemcy?

— Jeszcze jak. Kupują sporo sprzętu pomocniczego, ale przede wszystkim nasze powiększalniki i lornety.

— Ile, mniej więcej, osób przewija się przez sklep każdego dnia?

— Około czterystu. Nie wszyscy, oczywiście, coś kupują, niemniej obroty mamy duże. Od czasu gdy zacząłem pracować w tym sklepie, wzrosły pięciokrotnie. Szczególnie wyraźny skok w utargach i liczbie nabywców obserwuję już chyba od dziesięciu lat.

— Ale wskazuje to też na wzrost zainteresowania fotografowaniem.

— Z całą pewnością. I sądzę, że jest to bardzo pozytywny objaw gdyż świadczy o wzroście poziomu oświaty i kultury społeczeństwa w ogóle. Mówi o tym choćby sam kierunek zainteresowania Fotografowanie stało się ruchem masowym, obejmuje ludzi w różnym wieku i różnej płci, ale głównie młodzież, bez względu na wykształcenie i pochodzenie społeczne. Jest to, moim zdaniem, pasja która kształtuje zmysł estetyczny, rozbudza wrażliwość artystyczną i jest pożyteczna także z wielu innych względów.

— Na przykład?

— Zachęca do pogłębiania wiadomości z zakresu takich dziedzin nauki, jak fizyka, a szczególnie optyka, chemia, technika precyzyjna oraz plastyka, grafika Fotoamatorzy są bardzo oczytani i często doskonale zorientowali w tajnikach fotografowania. Trzeba wiele czytać, żeby nabyć tyle wiadomości. Obok tego, jak mi się zdaje, rozwój tego ruchu wskazuje na to, że ludzie mają teraz więcej wolnego czasu i wypełniają go tym bardzo pożytecznym zajęciem. Ludziom, którzy nie mają jakiejś twórczej pasji, częściej przychodzą do głowy głupie myśli. Czy mam rację?

— Tak, zgadzam się z panem. Proszę mi powiedzieć czy te gabloty z detalami fotograficznymi spełniają rolę propagandy wizualnej?

— Można by to i tak określić. Nabywca może obejrzeć różne drobiazgi z oznaczoną ceną bez zasięgania informacji sprzedawcy. Klienci są różni: zdecydowani i niezdecydowani. Tym ostatnim sprzedawca musi doradzić i zaproponować sprzęt, dopasować go do finasowych możliwości nabywcy, umiejętności stopnia zaawansowania w fotografowaniu, wieku itp.

— A zatem wszystko pod kątem potrzeb nabywcy.

— Oczywiście. Tak rozumiem handel. Zawsze uważałem, że dobrze zorganizowana, rzetelna i wydajna praca jest źródłem osiągnięć społecznych, gospodarczych i kulturalnych, że jest podstawą dobrobytu i awansu społecznego, dowodem, czy miarą świadomości i dojrzałości społeczeństwa. Inna rzecz, że sporo sklepów prowadzi inną „politykę", która drażni nabywców. I często nie dlatego nawet, że wystąpują okresowe braki w zaopatrzeniu handlu uspołecznionego, lecz dlatego, że personel tych sklepów jest częstokroć niekompetentny, niezorientowany w asortymencie towarów i w dodatku opryskliwy.

— To prawda. Panie kierowniku, zauważyłem, że z dużą przyjemnością bierze pan do ręki sprzęt fotograficzny. Lubi pan cacka?

— Szalenie. Niektóre aparaty fotograficzne to rzeczywiście prawdziwe cacka. Zwłaszcza te zautomatyzowane. Cudo!

— Rozumiem to. Czy zamierza pan utrzymać pierwsze miejsce w branży?

— Naturalnie. Wszyscy tak zamierzamy. Proszę spojrzeć, świadczą o tym te dyplomy i wyróżnienia państwowe i resortowe, które otrzymaliśmy w uznaniu osiągnięć w pracy zawodowej.

— Na przykład?

— Dyplomy za zdobycie I miejsca we współzawodnictwie pracy. Pierwszy otrzymaliśmy w 1967 roku, a w następnych latach dalsze. Od szeregu lat jesteśmy sklepem wiodącym w branży fotograficznej. Poza tym mamy kilkanaście innych dyplomów, m.in., od naszej dyrekcji i zarządu WPHW za wykonywanie planów obrotu, za wzorową obsługę klientów. Ostatnio zdobyliśmy I stopień we współzawodnictwie o handlowy znak jakości — odznakę brązową. Postanowiliśmy zdobyć II i III stopień — odznaki: srebrną i złotą.

— Będę niedyskretny — czy pan ma jakieś wyróżnienia za dobrą pracę?

— Mam takie wyróżnienia.

— Jakie? — to jeszcze jedna niedyskrecja.

— W 1952 roku otrzymałem tytuł Przodownika Pracy oraz dyplom i nagrodę za ofiarną pracę dla Polski Ludowej. Później, w latach 1968—72, wyróżnienia resortowe, odznaki wzorowego sprzedawcy III, II i I stopnia. W 1969 roku zostałem odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi, a w 1974 — Odznaką Zasłużonego Pracownika Handlu i Usług. Rok później zdałem egzamin kwalifikacyjny z wynikiem bardzo dobrym, otrzymując tytuł Dyplomowanego Pracownika Handlu z prawami mistrza. Otrzymałem też wiele innych wyróżnień. Jestem członkiem Rady Kierowników Sklepów, działającej przy Centrali WPHW oraz członkiem Samorządu Robotniczego.

— W sklepie eksponuje pan fotogramy o dużych walorach artystycznych. Czy chodzi o popularyzację tych prac?

— Do pewnego stopnia. Są to fotogramy łódzkich fotografików, członków Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego. Na tej mini-wystawie pokazuje co miesiąc swoje prace inny autor. Obecnie eksponuje swoje fotogramy artysta fotografik pan Eugeniusz Hanneman. Uważam iż taka mini-galeria fotografiki jest atrakcyjna i podnosi walor sklepu.

— Na pewno, doskonała inicjatywa. Pogratulować. Wiem, że zająłem panu sporo czasu, ale już ostatnie pytanie: Jak pan odpoczywa, jak pan spędza czas wolny od pracy?

— Jakoś nie kojarzy mi się odpoczynek z czasem wolnym od pracy. Odpoczywam przy literaturze fachowej, przy dobrej książce, przy interesujących czasopismach. Na kino czy teatr, niestety, nie starcza mi już czasu. Fotografowanie uprawiam podczas urlopów i niedzielnych wyjazdów za miasto. A czas wolny od pracy? No, cóż spędzam przy naprawianiu drzwi, uszczelnianiu okien i kranów, nieustannym porządkowaniu piwnicy i doglądaniu malucha. Nie lubię tych zajęć...

— Najwięcej czasu zajmuje dziecko, to fakt, ale poza tym to nie jest pan przyjemnym tatusiem...

— ... ale to jest maluch na czterech kółkach!

— A to dopiero! Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Trzydziestolecie działalności obchodziło niedawno zasłużone dla kultury naszego miasta, cenione w kraju za swą szeroką działalność, Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne. Poniżej – dwa fotogramy z retrospektywnej wystawy jubileuszowej.

Franciszek Mikijaniec — „Łódzkie kontrasty" — 1965

Bartosz Pietrzak — „Pejzaż dyskretny"

Doc. dr hab. MARCIN BIELSKI: ...W tej sytuacji konieczne jest stworzenie forum, na którym mogłyby być prezentowane i konfrontowane różne poglądy i oceny rozmaitych alternatywnych rozwiązań...

Dr STEFAN KRAJEWSKI: ...Bardzo ważne jest również i to, że nie respektujemy najprostszych wymogów zbilansowania planu...

Dr EDMUND LEWANDOWSKI: ...Potencjalne możliwości gospodarcze są znacznie większe niż osiągane efekty...

W dyskusji udział biorą: prof. dr hab. **Jolanta Kulpińska** – dyrektor Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego, doc. dr hab. **Marcin Bielski** – kierownik Zakładu Teorii Organizacji Uniwersytetu Łódzkiego, dr **Stefan Krajewski** – adiunkt w Zakładzie Ekonomii Socjalizmu I, dr **Edmund Lewandowski** z Zakładu Socjologii Ogólnej Uniwersytetu Łódzkiego.

CENA PRZEMIAN

„ODGŁOSY": — Proponujemy za hasło naszej dyskusji przyjąć znalezienie odpowiedzi na następujące pytania: jakie wnioski możemy wyciągnąć ze zmian wprowadzonych w minionym dziesięcioleciu w polityce socjalnej i ekonomicznej? Wyliczmy, dla przypomnienia, osiągnięcia.

E. LEWANDOWSKI: — Pozwolę sobie przytoczyć opinie cudzoziemców, którzy odwiedzają nasz kraj po dłuższej nieobecności. Zdumiewające — mówią — ile tu zrobiono. Jednocześnie przybysze uważają, że Polacy więcej narzekają; nie widzą tych kożuchów, samochodów, pralek automatycznych itp.

M. BIELSKI: — Bo duża ilość drobnych niedociągnięć jest tak dokuczliwa, że przesłania nam wielkie osiągnięcia.

E. LEWANDOWSKI: — Jednakże w krótkim stosunkowo czasie dokonały się olbrzymie przemiany w życiu codziennym. To jest po prostu inny kraj.

S. KRAJEWSKI: — Okazało się jednak, że nowa struktura życia pociąga za sobą konieczność wielu zmian.

„ODGŁOSY": — Podamy przykłady wzięte prosto z życia. W nowym mieszkaniu potrzebne są meble. Samochód wymaga garażu, turystyka zagraniczna — sprawnych form organizacyjnych.

E. LEWANDOWSKI: — Zyskaliśmy coś bardzo ważnego dla socjalizmu. Ludzie uświadomili sobie swoje potrzeby. Znam rodziny, którym dawniej nie przyszłoby do głowy, aby na przykład jeździć na wczasy. A teraz jeżdżą i uważają, że im się to słusznie należy. Poza tym dość szybko rosły płace, które rzutowały na zwiększenie się potrzeb. Kolejki w sklepach powodowane są także ilością posiadanych pieniędzy.

S. KRAJEWSKI: — Naprawdę duży sukces to unowocześnienie niektórych branż przemysłu, zwłaszcza elektromaszynowego i elektronicznego. W tej dziedzinie zrobiliśmy ogromny krok naprzód. Poza tym daliśmy ludziom zatrudnienie.

M. BIELSKI: — Modernizacja przemysłu poprawiła w ogromnym stopniu warunki pracy.

J. KULPIŃSKA: — Zapoczątkowaliśmy cały szereg reform socjalnych, na przykład renty dla rolników, wolne soboty, uprawnienia dla rodziny.

S. KRAJEWSKI: — Dostrzegliśmy problemy ludzi starych. Rozszerzyliśmy bezpłatną opiekę zdrowotną na całą ludność wiejską. Rozwinęła się turystyka zagraniczna. Ludzie wyjeżdżają, patrzą, konfrontują, co może im wyjść tylko na dobre. Społeczeństwo polskie staje się coraz bardziej świadome, dojrzałe i chce iść naprzód.

J. KULPIŃSKA: — W pierwszym 5-leciu lat 70-tych ludzie przyzwyczaili się do sukcesów, poznali ich „smak", mieli poczucie autentycznych osiągnięć i perspektyw na przyszłość.

S. KRAJEWSKI: — Ale cechowała ich również pewna beztroska i nadmierny optymizm.

J. KULPIŃSKA: — Tak. Umocniła się, zwłaszcza wśród kadry kierowniczej, wiara w automatyzm pewnych poczynań. Wydawało się, że jeśli kupimy licencje, to natychmiast nasycimy rynek towarami i rozwiążemy wszystkie problemy ekonomiczne. Niestety, wpadliśmy tu w sidła zastawione zarówno przez sytuację wewnętrzną jak i zewnętrzną.

„ODGŁOSY": — Skutki załamania się koniunktury na Zachodzie odczuwamy nie tylko w naszym kraju. Pytanie: czy inne społeczeństwa były do tych zmian bardziej przygotowane niż nasze?

J. KULPIŃSKA: — Załamanie się koniunktury gospodarczej na świecie zbiegło się w Polsce ze szczególnie trudną sytuacją ekonomiczną. Społeczeństwo, nastawione na sukces, nie jest do tych zmian przygotowane i trudniej mu je ocenić we właściwych proporcjach. Nadal niełatwo jest zrozumieć, dlaczego występują braki, skoro w tylu dziedzinach mamy bezsporne osiągnięcia. Jeśli wyjaśnimy charakter tych zmian i przyczyny braków, to niektóre problemy będzie można łatwiej zrozumieć i rozwiązywać.

„ODGŁOSY": — Dyskusja przedzjazdowa niewątpliwie przyczyni się do wyjaśnienia charakteru tych zmian i przyczyn występujących napięć. Cała grupa przyczyn wiąże się tu nierozerwalnie z funkcjonowaniem gospodarki, systemem planowania i zarządzania. Dyskusja powinna wskazać niedociągnięcia i wnieść propozycje zmian tak, jak to podkreślił I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, na XVI Plenum: „W nadchodzących latach musimy zmienić wiele dotychczas stosowanych metod działania, a na ich miejsce wprowadzić takie, które lepiej odpowiadają nowym, z reguły trudniejszym uwarunkowaniom".

Prof. dr hab. JOLANTA KULPIŃSKA: ...Nadal niełatwo jest zrozumieć, dlaczego odczuwamy permanentne braki, skoro w tylu dziedzinach mamy bezsporne osiągnięcia...

E. LEWANDOWSKI: — Jakie praktyczne i teoretyczne wnioski wynikają z minionego 10-lecia? Moim zdaniem, lata te jeszcze raz potwierdziły pogląd, iż podstawowe znaczenie dla gospodarki socjalistycznej ma właściwe powiązanie następujących czynników: centralnego planowania i zarządzania, mechanizmu rynkowego oraz inicjatywy oddolnej i kontroli społecznej. Otóż, jak dotąd nie udało się osiągnąć optymalnego połączenia tych elementów. Najpierw nie doceniano rynku, przeceniano natomiast znaczenie planu centralnego. Z kolei w ostatniej 5-latce zbagatelizowano plan. Wiele do życzenia pozostawia wykorzystanie trzeciego stymulatora — właśnie inicjatyw oddolnych i kontroli społecznej. Rezultatem jest olbrzymie marnotrawstwo sił wytwórczych. Jakie więc kroki należałoby podjąć w przyszłości, aby uniknąć tych niekorzystnych zjawisk? Wydaje mi się, że droga wiedzie przede wszystkim poprzez przywrócenie rangi planu i doskonalenie metod planowania. Dalszym krokiem powinna być zwiększona podmiotowość szerokich mas oraz niższych ogniw gospodarki. A to zwiększenie podmiotowości powinno iść w parze ze wzrostem dyscypliny pracy, co nie jest zadaniem łatwym ze względu na ogromną przewagę podaży wolnych miejsc pracy nad popytem. O ile wiem, na samej tylko kolei brakuje obecnie 34 tysięcy pracowników.

S. KRAJEWSKI: — Warto więc się zastanowić, który z wymienionych przez Pana czynników odgrywał główną rolę w naszym rozwoju społeczno-gospodarczym. Bardzo łatwo tu zrobić błąd i powiedzieć: opieraliśmy się głównie na centralnym planowaniu. Przestrzegałbym przed tym jako ekonomista.

J. KULPIŃSKA: — Zgoda, bo przecież zbyt często wprowadza się do planu dodatkowy wzrost produkcji, na przykład o 5 tysięcy skuwek.

S. KRAJEWSKI: — Niektórzy ekonomiści uważają, że nasze przedsiębiorstwa mają tak wielką samodzielność, jakiej nie posiadają nawet ogromne korporacje w systemie kapitalistycznym, na przykład w zakresie cen. Zdarza się, że duże przedsiębiorstwa wymuszają decyzje. I wymuszają je na przykład manipulacjami kosztów. Bardzo ważne jest również i to, że nie respektuje się najprostszych wymogów zbilansowania planu. Odpowiedzialności za to nie ponoszą jednak tylko same przedsiębiorstwa. Mówi się o tym sporo w dyskusjach na zebraniach partyjnych.

J. KULPIŃSKA: — Ale z czego to wynika? Czy z nadmiernej samodzielności przedsiębiorstw, czy też może z niedostatecznego działania mechanizmu rynkowego?

S. KRAJEWSKI: — Myślę, że wynika to raczej z woluntaryzmu decyzji podejmowanych na wyższych szczeblach zarządzania. Ale jest to także podyktowane samodzielnością przedsiębiorstw. Obserwujemy bowiem nadmierny partykularyzm, naciski ogromnych przedsiębiorstw i całych branż, przez które rozumiem zjednoczenia a bywa, że i ministerstwa. Zachowują się one niekiedy jak superkoncerny. A przecież, powołam się na Wytyczne, w których czytam, iż należy dążyć do tego, aby zapewnić takie działania ministerstw, które uwzględniałyby bardziej interes ogólnospołeczny.

M. BIELSKI: — Chciałbym tu zwrócić uwagę na mechanizmy przetargu, w którym ścierają się wygórowane często żądania nadrzędnych władz gospodarczych z minimalistycznym, obronnym stanowiskiem jedno-

stek gospodarczych najniższego szczebla. Wobec takiego mechanizmu społecznego występuje zasada ukrywania rezerw, bo to są atuty trzymane w rękawie przez różnych dyrektorów, które wyciągają dopiero wtedy, gdy inaczej już nie można. Powoduje to nastawienie gospodarki na minimalizację ryzyka i poczucie bezpieczeństwa. Powoduje to zmniejszenie autentycznego zapotrzebowania na nowości, bo produkowanie wyrobów tradycyjnych jest po prostu bezpieczniejsze. To samo z postępem technicznym i organizacyjnym. Jeśli dyrektor nie jest zainteresowany, z różnych powodów, w ujawnianiu rezerw, to jemu nie jest potrzebna organizacja. Bierze się to z filozofii ilościowo-ekstensywnej, a nie jakościowo-intensywnej. Jeśli zadania oceniane są w kategoriach ilościowych, a nie jakościowych, to nikt nie odważy się podnieść wskaźnika wydajności pracy. Chyba, że pracuje się dla odbiorcy zagranicznego. Rozumujemy ponadto kategoriami optimum w bardzo wąskim przedziale, a nie całości. Optimum całościowe wcale nie jest sumą optimum cząstkowych, a przedsiębiorstwa rozliczane są z zadań wycinkowych.

E. LEWANDOWSKI: — No, tak, ale plan powinien być zbilansowany i wewnętrznie zgodny.

S. KRAJEWSKI: — Może na wyrost założyliśmy jedność interesów i celów i dostosowaliśmy do tego strukturę instytucjonalną w kraju oraz mechanizmy działania. Jeśli występują napięcia, to przypisujemy je najczęściej ludzkiej ułomności, powołując się na nasze przywary. Natomiast jest za mało mechanizmów, które pozwoliłyby dochodzić do określonych celów drogą ścierania się poglądów. Z marksistowskiego punktu widzenia taki właśnie jest mechanizm rozwojowy.

J. KULPIŃSKA: — Całkowicie się zgadzam. Już wcześniej chciałam zaprotestować przeciwko poglądowi, iż niesłusznie dopuszcza się u nas do partykularyzmu, przetargów itp. Czy może być inaczej? Fantazjując, można by sobie wyobrazić jakiś ogromny komputer, który wszystko ustali: i właściwe cele społeczne, i środki ekonomiczne dla ich osiągnięcia oraz takie decyzje, które pozwoliłyby wszystko zbilansować bez wstrząsów. Jest to po prostu niemożliwe. W związku z tym rodzi się pytanie, jak dokonać wyboru celu zgodnego z interesem ogólnospołecznym.
Często się zakłada że wszyscy będą racjonalnie przedstawiać swoje racje. Więc i wybór jednej z nich jest automatycznie racjonalny. Tymczasem życie dowodzi, że pojawiają się tutaj gry przetargowe, oparte o niejasne kryteria i poparte partykularnym interesem. To nawet zrozumiałe, że silniejszy resort chce osiągnąć więcej, bo jego potrzeby też są większe. Stworzenie mechanizmu tej gry przetargowej jest bardzo istotne. Ten mechanizm związany jest bardzo ściśle z funkcjonowaniem instytucji, nie tylko ekonomicznych, ale także politycznych.

S. KRAJEWSKI: — Rodzi się pytanie: czy rzeczywiście robimy wszystko, aby jak najlepiej wykorzystać tych wszystkich wartościowych ludzi, którzy mają różne poglądy na jakieś zagadnienie. Ludzi, dla których największą troską jest dobro i przyszłość naszego kraju. Niezbędna jest dyskusja ale i kontrola wykonania podejmowanych decyzji ekonomicznych. Inaczej nie unikniemy szkodliwych w skutkach partykularyzmów.

„ODGŁOSY": — Bardzo trafnie ujął to zagadnienie red. Dominik Horodyński w przedzjazdowej dyskusji na łamach „Kultury": „Sedno sprawy — pisze — polega na wytyczeniu granicy między niezbędną jednością chroniącą nas przed anarchizacją życia i również niezbędnymi w każdym żywym społeczeństwie różnicami zdań. Wbrew uproszczonym wyobrażeniom mechaniczne wyeliminowanie różnic zdań bynajmniej nie przyczynia się do umocnienia rzeczywistej jedności moralno-politycznej". („Kultura", 2.XII.1979).

E. LEWANDOWSKI: — Wydaje mi się, że ani ekonomia polityczna, ani socjologia nie zidentyfikowały dotychczas podstawowej sprzeczności, która jest siłą napędową socjalizmu. Mam na myśli sprzeczność pomiędzy rozwijającymi się siłami wytwórczymi a systemem kierowania i zarządzania. Przecież co jakiś czas siły wytwórcze, coraz bardziej nowoczesne technicznie, popadają w sprzeczność z nieelastycznym i nienowoczesnym systemem kierowania i zarządzania. Dla przykładu: mamy dziś prawie milion ludzi z wyższym wykształceniem i jeden z najnowocześniejszych parków maszynowych na świecie, ale czy wykorzystujemy tych ludzi i maszyny w sposób najbardziej właściwy? Bardzo często mówi się, że istnieje sprzeczność między wygórowanymi potrzebami ludzi a możliwościami ich zaspokajania. Mnie się wydaje, że o wiele ważniejszy jest rozdźwięk między realnymi możliwościami, potencjałem ludzkim i technicznym a rzeczywistością ekonomiczną.

J. KULPIŃSKA: — Użyję banalnego porównania: rodzina jest wtedy gospodarna, jeśli dobrze bilansuje swoje dochody i wydatki. Planując zakupy postanawia: w tym roku kupimy na przykład pralkę automatyczną, a w następnym nowy telewizor. Tymczasem pani domu idzie Piotrkowską i widzi, że przywieziono do sklepu kożuchy. Tańsze niż zwykle. I zapomina, że nie planowała zakupu kożucha, i że jej stary kożuch jest jeszcze zupełnie dobry. I kupuje kożuch, skoro nadarzyła się okazja. Narusza więc natychmiast cały rodzinny plan. Narusza także kryteria wyboru. Wydaje mi się, że w naszych działaniach gospodarczych obserwuje się też takie właśnie korzystanie z okazji. A przecież ścisłe kryteria ustalania ważności celów ekonomicznych i społecznych są bardzo istotne. Właśnie dlatego, że potrzeb jest więcej niż możliwości ich zaspokojenia.

S. KRAJEWSKI: — Myśleliśmy: ludzie staną przy nowoczesnych maszynach, od razu będą produkować wspaniałe rzeczy. Co więcej — potrafią je wyprodukować. Tymczasem z badań przeprowadzonych w naszym instytucie wynika, że kupowaliśmy urządzenia bez wyraźnych koncepcji. W jednym zakładzie są często maszyny z 10 państw. Dlaczego? Bo ten pracownik, który jeździł i zamawiał, dokonywał wyboru w ten sposób: aha, w Stanach już byłem, w RFN — też, w Japonii jeszcze nie byłem. To pojadę do Japonii. Nie mogłem w to uwierzyć, ale takie były kryteria. Potwierdzało to wiele osób. Skutki takich zakupów będziemy odczuwać jeszcze przez wiele, wiele lat. Struktury gospodarki nie zmienimy przecież z dnia na dzień.

M. BIELSKI: — Poza tym, wzrost urządzeń technicznych z importu powoduje potrzebę zwiększenia importu części.

S. KRAJEWSKI: — Jednakże to była wielka odwaga: pójście w początkach lat 70-tych na technologię Zachodu. Przesadziliśmy tylko w oczekiwaniach, i to na różnych szczeblach.

M. BIELSKI: — Wydawałc się, że zagrają same środki techniczne... Myślę, że poważnie ogranicza nas brak samosterowalności systemu gospodarczego. Obejmujemy planowaniem nawet takie dziedziny, które się planowaniu nie poddają, bo wszyscy rozliczani są z wykonania planu. Umocnienie centralnego planowania, przy odpowiednim systemie przełożeń, jest możliwe do pogodzenia ze wzrostem samodzielności jednostek gospodarczych. Wymaga to jednakże stworzenia takiego mechanizmu, takiego układu stymulatorów, które kierowałyby działaniem jednostek gospodarczych zgodnie z interesem ogólnospołecznym. Wiadomo przecież, że nie można osiągnąć idealnej równowagi interesów. Jeśli natomiast chodzi o umacnianie centralnego planowania, to trzeba zwrócić uwagę na to, że im wyższy szczebel, tym więcej decyzji dotyczy wyboru celów, a nie środków. W tego typu decyzjach, które mają charakter bardziej polityczny niż gospodarczy, niemożliwe jest zastosowanie rachunku optymalizującego. W tej sytuacji konieczne jest stworzenie forum, na którym mogłyby być prezentowane i konfrontowane różne poglądy i oceny rozmaitych alternatywnych rozwiązań. Pozwoliłoby to uniknąć szeregu błędów wynikających ze zbyt jednostronnej oceny.

„ODGŁOSY": — Wracając do eksperymentów minionego dziesięciolecia. Jak dziś, z perspektywy czasu, ekonomiści oceniają system WOG?

S. KRAJEWSKI: — Uważam, że system WOG był zaskakująco dobry. Nie potrafiono jednak zapewnić mu warunków i możliwości rozwoju. Z doświadczeń innych krajów wynika, że jeśli przeprowadzają jakąś reformę, to równoważą gospodarkę, a dopiero potem wprowadzają nowy system zarządzania i planowania. System WOG był wprowadzany w momencie trudnej sytuacji rynkowej i przy napięciach wynikających z wysokiej stopy inwestycyjnej, przy brakach na rynku. WOG nie miał wyczulonych mechanizmów reagowania na wahania równowagi rynkowej. Wydawało się, że WOG zmienią zasady działania ministerstw. Tymczasem ministerstwa były silniejsze.

E. LEWANDOWSKI: — A może zabrakło nam wytrwałości?

S. KRAJEWSKI: — Komu zabrakło? Nie zgodziłbym się z tym. Nie wiem, czy podzielają Państwo moje odczucia, ale uważam, że system WOG po raz pierwszy stworzył zapotrzebowanie wśród kadry kierowniczej na zmiany w gospodarce.

M. BIELSKI: — WOG był pierwszą koncepcją całościową i spójną.

S. KRAJEWSKI: — Tymczasem w tamtych warunkach po prostu nie mógł się sprawdzić.

J. KULPIŃSKA: — Liczyliśmy na to, że jeśli będą dobre plany, to spotkają się z powszechną akceptacją. Ale uważam, że nie doceniamy pewnych mechanizmów działania społecznego. Zbytnio liczymy na perswazję, podczas gdy pracownicy oczekują dobrego zarządzania, dobrej organizacji pracy, sprawnego zaopatrzenia. A to jest w dużej mierze, mimo trudności, osiągalne.

„ODGŁOSY": — Spróbujmy zatem sprecyzować, co charakteryzuje naszą obecną sytuację.

E. LEWANDOWSKI: — Wydaje mi się, że charakterystyczne jest istnienie trzech sprzeczności: między potrzebami ludzi a możliwościami ich zaspokajania, między realnymi możliwościami a rzeczywistą efektywnością gospodarki, między rzeczywistością społeczno-gospodarczą, a ideałami. Potrzeby obywateli zdecydowanie przewyższają możliwości ich zaspokajania, ale z kolei potencjalne możliwości gospodarcze są znacznie większe niż osiągane efekty. O przyczynach powstawania tego niespotykanego dotąd ciśnienia potrzeb mówiliśmy już na wstępie naszej dyskusji. Spowodował je m.in. wzrost zarobków i wyższy standard życia. Te okoliczności zmieniły również samych ludzi. Wiele grup społecznych nakierowało swoje zainteresowania przede wszystkim na zaspokojenie potrzeb materialnych, na „mieć", zamiast na „być".

„ODGŁOSY": — Z naszej rozmowy, kontrowersyjnej w wielu miejscach, wynika, że zwłaszcza teraz istnieje potrzeba otwartego spojrzenia na całość naszej gospodarki, oceny działań we właściwym wymiarze, określenia przyczyn niepowodzeń, aby uniknąć podobnych w przyszłości, ustalenia kolejności ich przezwyciężania, tak jak to sprecyzował tow. E. Gierek na XVI Plenum: „Powinniśmy w ciągu kilku lat usunąć niedobory tych artykułów żywnościowych, które możemy wytwarzać z własnych surowców, a w przyszłym roku powinniśmy dokonać oceny wyników przeprowadzonych dotychczas przedsięwzięć w zakresie doskonalenia zarządzania, planowania i systemów ekonomiczno-finansowych oraz sformułować na tej podstawie kierunki dalszego postępu".

Będziemy radzi, jeśli nasza dyskusja, o której śmiało można powiedzieć, iż jest wyrazem obywatelskiej troski o jutro kraju, wniesie do tej ogólnonarodowej wymiany poglądów swój skromny udział.

Dyskusję przygotowali:

MAŁGORZATA GOLICKA
KONRAD FREJDLICH

Jednym z istotnych czynników poprawy efektywności gospodarowania będzie w latach osiemdziesiątych doskonalenie planowania, zarządzania i organizacji. W wyniku działań podejmowanych przez Partię w celu umocnienia równowagi gospodarczej będą kształtowane warunki bardziej sprzyjające usprawnieniu mechanizmów funkcjonowania gospodarki w kierunku podnoszenia efektywności w przedsiębiorstwach, zjednoczeniach i jednostkach budżetowych, a także w gospodarce narodowej jako całości. Należy zwłaszcza doskonalić metody i praktyki sterowania procesami gospodarczymi. Doskonalenie zarządzania i planowania powinno zapewnić prawidłowy przebieg procesów gospodarczych.

Należy umacniać rangę planowania centralnego w kształtowaniu długofalowego rozwoju społeczno-gospodarczego. W tym celu należy doskonalić planowanie problemowe sprzyjające kompleksowemu rozwiązywaniu kluczowych zadań społeczno-gospodarczych oraz planowanie przestrzenne w skali ogólnokrajowej, regionalnej i lokalnej. W systemie planów ogólnospołecznych powinna wzrosnąć ranga planu pięcioletniego, jako podstawowego narzędzia planowego kierowania rozwojem społeczno-gospodarczym. Odpowiednio do tego doskonalić należy system i metody planowania rocznego. Trzeba doskonalić metody bilansowania, rozwijać rachunek efektywności społeczno-ekonomicznej jako podstawę wyboru kierunków rozwoju gospodarki.

Nieodzowne jest umocnienie dyscypliny i odpowiedzialności za realizację ustaleń i zadań określonych w planie na wszystkich szczeblach zarządzania, we wszystkich jednostkach administracyjnych i gospodarczych. Wysoka dyscyplina realizacji zadań planu stanowi niezbędny warunek harmonijnego urzeczywistniania wytyczonych celów społeczno-gospodarczych.

Komisja Planowania przy Radzie Ministrów powinna doskonalić swe funkcje jako sztabowy organ rządu, odpowiedzialny za organizację systemu planowania i opracowywanie narodowych planów społeczno-gospodarczych oraz analizę i oceny ich realizacji. Wymaga to takiego kształtowania roli ministerstw, aby były one rzecznikami interesów i potrzeb ogólnospołecznych. W związku z tym ministerstwa funkcjonalne, planujące i koordynujące poszczególne dziedziny działalności gospodarczej, jak np.: zatrudnienie, handel zagraniczny, finanse, powinny stać się odpowiedzialne w podległym im zakresie za formułowanie i kontrolę narzędzi polityki społeczno-gospodarczej, zaś ministerstwa gałęziowo planujące i nadzorujące poszczególne gałęzie gospodarki powinny być odpowiedzialne w podległym im zakresie za realizację i kontrolę polityki rozwoju branż. Jest to niezbędne dla zwiększenia odpowiedzialności resortów w procesie formułowania i realizacji planów społeczno-gospodarczych.

Należy kontynuować prace nad doskonaleniem struktur organizacyjnych w gospodarce i administracji, dążąc zwłaszcza do zmniejszenia liczby szczebli zarządzania i liczebności aparatu administracyjnego oraz dostosowania struktur organizacyjnych do potrzeb sprawniejszej realizacji celów społecznych i ekonomicznych. Powinno to prowadzić do znacznego obniżenia kosztów w jednostkach administracyjnych i gospodarczych. Konieczne jest doskonalenie pionowych i poziomych powiązań pomiędzy jednostkami gospodarczymi. Dlatego należy umacniać wielkie organizacje gospodarcze, głównie w dziedzinach odznaczających się silnymi więzami technologiczno-produkcyjnymi. Powinny one mieć struktury kompleksowe, w skład których wchodziłyby wszystkie ogniwa procesu wytwórczego oraz zaplecza naukowo-technicznego i handlowo-usługowego. Natomiast w innych dziedzinach struktury organizacyjne powinny odznaczać się bardziej elastycznymi powiązaniami między jednostkami gospodarczymi — odpowiednio do ich cech techniczno-ekonomicznych i funkcji spełnianych w procesie zaspokajania potrzeb społecznych.

Należy znacznie rozszerzyć zakres uprawnień i odpowiedzialności organizacji gospodarczych, kładąc nacisk na tworzenie warunków technicznych i organizacyjnych sprzyjających przedsięwzięciom podnoszącym efektywność gospodarowania, zwłaszcza wprowadzaniu innowacji techniczno-organizacyjnych, oraz na upowszechnienie zasad samofinansowania rozwoju.

W procesie doskonalenia metod planowania i zarządzania wespół z umacnianiem rangi planu centralnego należy zwiększać rolę narzędzi i mechanizmów ekonomicznych oraz systemu finansowego i jego instrumentów. Powinno to sprzyjać zwiększaniu samodzielności i odpowiedzialności organizacji gospodarczych oraz silniej ukierunkować ich wysiłki na poprawę efektywności.

(Z WYTYCZNYCH KC NA VIII ZJAZD PZPR)

Foto: R. Łucyszyn
Foto: W. Parys

„PIEKŁO SPADNIE NAM NA GŁOWY"

Tygodnik *Le NOUVEL OBSERVATEUR* opublikował fragmenty książki *Sekrety amerykańskich archiwów*. Autorem tej pracy jest dziennikarz, Nerin E. Gun, który ponoć przewertował ponad milion niepublikowanych do tej pory dokumentów dyplomatycznych. Publikowane dokumenty dotyczą stosunków między rządem USA i rządem Vichy, między prezydentem Rooseveltem, premierem Churchillem, Petainem i de Gaullem. — *Wyjątki tej pasjonującej książki* — stwierdza francuski tygodnik — *lepiej niż wszelkie polityczne analizy, wyjaśniają w jaki sposób wydarzenia sprzed lat zadecydowały o dzisiejszej rzeczywistości.*

* * *

Późnym popołudniem, 7 września 1940 roku, prezydent Stanów Zjednoczonych, Franklin Delano Roosevelt, otrzymał bardzo dziwną depesze, dziwną chociażby dlatego, że była zredagowana w języku, nie mającym nic wspólnego z dyplomatycznym słownictwem: There's hell to pay here tonight. Jest to prawie nieprzetłumaczalne określenie: Tej nocy piekło spadnie nam na głowy!

Depesza ta została wysłana przez Jego Ekscelencję Josepha Patricka Kennedy'ego, ambasadora USA w Londynie, bliskiego i nader swobodnie zachowującego się przyjaciela Roosevelta. Nie po raz pierwszy ojciec późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych wpadał w panikę. Zresztą już 1 września 1939 roku uznał on, że Wielka Brytania przegra tę wojnę i starał się wyperswadować swemu przyjacielowi i przełożonemu jakikolwiek udział w konflikcie. Kennedy nie ukrywał swych sympatii, jeśli nie do Hitlera, to w każdym razie do Niemiec, baronów przemysłu i junkrów. Można by powiedzieć, że dziwny to list uwierzytelniający, jak na ambasadora USA w W. Brytanii. To prawda, ale w tamtym okresie w Stanach Zjednoczonych — niestety, do tej pory pod tym względem nie całkowicie to się zmieniło — ważne stanowiska dyplomatyczne powierzano politykom za ich usługi w czasie kampanii wyborczych. A Joseph Kennedy bardzo przyczynił się do sukcesu Roosevelta i jego klanu. Trzymał w ryzach aparat wyborczy swego stanu, Massachusetts. To on za kulisami Partii Demokratycznej skupiał w swych rękach nici wyborów.

Depesza Kennedy'ego kładła nacisk na skuteczność niemieckich bombardowań:

Ich precyzja jest zdumiewająca. Zrzucili dwadzieścia bomb wokół ambasady, ale unikali trafienia w nasz budynek.

Czy ambasador chciał w ten sposób donieść swemu przyjacielowi, że niemieccy lotnicy swym postępowaniem pragną dać do zrozumienia akcjonariuszowi ich największych zakładów chemicznych, I.G. Farben, że celowo go oszczędzają, gdyż przy ich precyzji mogliby bez trudu zrobić mu krzywdę?

Kennedy kontynuował:

Mój stary, co za pieskie życie! Wdrapałem się na dach i skonstatowałem, że niemieckie samoloty niszczą całe miasto. Wszystkie obiekty wojskowe zostały trafione. Londyńczycy stali się uchodźcami we własnym mieście. Pociągi przyjeżdżają z dużym opóźnieniem. Ludzie są zmęczeni. Osłabia ich brak snu. Wpływa to ujemnie na wysiłek wojenny.

Wzdłuż francuskich wybrzeży imponująca armada niemieckich jednostek morskich przygotowuje się do inwazji. Nawet Churchill jej nie wyklucza. Wielu Brytyjczyków pragnie takiej ewentualności. Mają nadzieję, że w ten sposób uda się doprowadzić do pierwszej porażki Hitlera. Jednakże dla innych te przygotowania do inwazji są dowodem, że Hitler dysponuje olbrzymimi zasobami i w związku z tym należałoby pomyśleć o rokowaniach z nim. Naród angielski nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistych niebezpieczeństw obecnej sytuacji. Cenzura jest bardzo surowa.

Jestem pesymistą. Zasoby finansowe W. Brytanii są wyczerpane, chyba że zagarnie ona złoto należące do Francji, Belgii, Holandii... Rząd angielski zapewnia mnie, że wszystko idzie jak najlepiej; ale Anglia jest zgubiona, chyba, że damy jej wiele dolarów. Tylko Bóg mógłby wziąć na siebie taką odpowiedzialność...

Nie tylko Kennedy'ego ogarniał strach. I tak np. 26 czerwca lord Halifax proponował prezydentowi Irlandii, de Valera, sprzymierzenie się z Anglią, co umożliwiłoby armii brytyjskiej znalezienie schronienia w irlandzkiej „fortecy(?), skąd można by kontynuować walkę przeciwko Niemcom, z chwilą gdy ci podbiją angielską wyspę." W zamian Irlandia otrzymałaby Ulster, który po latach stanie się widownią krwawej wojny domowej.

Joseph Kennedy stracił cierpliwość jeszcze zanim się skończyła kampania francuska. Od samego początku działań wojennych obsesyjnie myślał o tym, aby ewakuować swoją ambasadę! A gdy rozpoczęła się niemiecka ofensywa, przekształcił się w agenta biura podróży. Amerykanów, przebywających w Europie, a głównie tych we Francji, ogarnia panika. *Ratuj się kto może* — mówił Kennedy tym, którzy go odwiedzali.

* * *

Jeszcze Petainowi nie przyznano nadzwyczajnych uprawnień, co nastąpiło w lipcu 1940 roku, a Cordell Hull, ówczesny sekretarz stanu, poinformował swoich podwładnych o decyzji podjętej przez Roosevelta:

Nasz rząd — stwierdzało pismo — *utrzymuje stosunki dyplomatyczne z rządem francuskim za średnictwem ambasadora Francji akredytowanego w Waszyngtonie i ambasady amerykańskiej, znajdującej się tymczasowo w Vichy. W czasie ostatnich wydarzeń nie było przerwy w kontaktach. Zważywszy, że nie wysunięto inicjatywy, by uznać nowy stan rzeczy istniejący we Francji, fakt, że stosunki dyplomatyczne były przez cały czas utrzymywane, zakłada uznanie de facto obecnej sytuacji.*

Ta dyrektywa, którą — mimo odmiennej składni — przetłumaczyłem słowo po słowie, żeby nie zniekształcić znaczenia dyplomatycznego, stwarzała podstawę tego, co określa się jako amerykańska stawka na Vichy.

Roosevelt, poirytowany wiadomością o Montoire (22 października 1940 roku marszałek Petain spotyka się z Hitlerem w miejscowości Montoire-sur-le-Loir, tym samym inaugurując politykę kolaboracji z III Rzeszą) postanawia mianować ambasadora, admirała Leahy, by w zamian uzyskać od Petaina odsunięcie od władzy Lavala. Robert Murphy, pracownik ambasady USA w Paryżu, przed wybuchem wojny, a później charge d'affaires w Vichy, 12 grudnia 1940 roku w czasie spotkania z Petainem stawia sprawę bez ogródek. Marszałek do niczego się nie zobowiązał, ale w czasie rozmowy przyznał, że już nie wierzy w zwycięstwo Niemiec, a raczej przewiduje *remisowy rezultat*.

Laval zostaje odsunięty, w każdym razie na pewien czas, a nowym *delfinem*, nowym — według Amerykanów — człowiekiem mocnym zostaje admirał Darlan. Murphy ma z nim bardzo poufne spotkanie. Niestety, opinie admirała nie pokrywają się z poglądami marszałka i amerykański dyplomata chwilowo odnosi przykre wrażenie, że Francja niewiele zyskała, wymieniając Lavala na Darlana.

Niemcy zapewne wygrają wojnę — upiera się Darlan — *a Anglia zostanie wykreślona z naszego kontynentu. Będzie to oznaczało również koniec Imperium Brytyjskiego. Niemcy wezmą nam Alzację i Lotaryngię, ale Anglia zabrałaby nam wszystko. Moja rodzina w czasie poprzednich pokoleń została przez Anglików pięciokrotnie zrujnowana. W Dunkierce angielskie dowództwo zdradziło nas. To są głupcy. Ten pijak Churchill przez dziesięć miesięcy czołgał się przede mną na kolanach, a teraz w Mers el-Kebir zadaje nam cios w plecy. Ach, gdyby marszałek pozwolił mi zbombardować Gibraltar... Jeśli Anglicy będą kontynuować blokadę Francji, zaatakujemy Gibraltar z pomocą niemiecką i hiszpańską i nie długo będzie on w stanie nam się opierać...*

Nerin E. Gun przytacza w swej pracy dowody tego, że Amerykanie wielokrotnie interweniowali w Vichy w sprawie francuskiej floty. Roosevelt i jego rząd obawiali się, że wpadnie ona w ręce Niemców. Akcję angielską pod Mers el-Kebir — zresztą kontrowersyjną — należy tłumaczyć tymi samymi przyczynami. 3 lipca 1940 roku eskadra pod dowództwem admirała Sommerville pojawiła się przed portem Mers el-Kebir w Zatoce Orańskiej i wezwała jednostki floty francuskiej, znajdujące się pod dowództwem admirała Gensoul, by przyłączyły się do floty angielskiej lub poddały się. Po otrzymaniu odmownej odpowiedzi eskadra angielska otworzyła ogień, zaś rząd Vichy zerwał stosunki dyplomatyczne z Londynem.

Mówiąc o Włoszech, Darlan przepowiadał ich załamanie:

Po wojnie do nas będzie należał Piemont, a do Niemców Triest. Jeśli chodzi o de Gaulle'a, to jest on osobnikiem bardzo użytecznym; gdyby go nie było, trzeba by go wymyślić!

Leahy przybywa do Vichy 5 stycznia 1941 roku, o północy. Otrzymał on z rąk własnych Roosevelta bardzo ścisłe instrukcje. W opinii prezydenta, jedynym legalnym przedstawicielem Francji jest Petain, któremu można zaufać, ale nie otaczającym go ludziom. Leahy powinien zachować się jak *pies podwórzowy*. Roosevelt bardzo jasno zdefiniował swoją politykę wobec Vichy, pisząc do Petaina:

Pragnę w tych chwilach wielkich trudności, którym stawia Pan czoło, przekazać osobiste wyrazy sympatii i zrozumienia. Z największą uwagą śledzę przekazywane mi przez ambasadora Leahy'ego informacje na temat ewolucji obecnej sytuacji i z całego serca pragnę, by rozwiązanie tej sytuacji sprzyjało utrzymaniu Francji wolnej i niepodległej, za którą walczył Pan z taką odwagą i z takim nieugiętym zdecydowaniem.

Tymczasem 13 maja 1941 roku Leahy nie ukrywa swego pesymizmu:

Marszałek jest kompletnie wyczerpany. Nie będzie już opierał się żądaniom niemieckim. Sukcesy Osi w Afryce Północnej i w Grecji zniechęciły go. Cała Francja upadła na duchu. Petain nigdy nie zechce wydać rozkazu stawienia zbrojnego oporu okupantowi. Jego bierność jest prawie całkowita. Niemcy nawet nie potrzebują już narzucać powrotu Lavala. Wystarcza im wezwanie Darlana do Berchtesgaden, jak ongiś Schuschnigga czy Hachę...

Londyn podkreśla znaczenie tej podróży:

Darlan wyraził zgodę na współpracę wojskową w Syrii i Afryce Północnej, na stopniowe zacieśnianie współdziałania floty francuskiej (z flotą państw Osi — przyp. red.) *w zamian za zwiększenie pomocy gospodarczej dla Francji.*

Przemówienie Petaina, który powiadamia naród francuski o swym dążeniu do *umocnienia kolaboracji*, wydaje się potwierdzać tego rodzaju obawy. W tych warunkach sekretarz stanu, Hull, dochodzi do wniosku, że zmuszony jest postawić kropkę nad „i". Robi to w czasie spotkania z ambasadorem Vichy w Waszyngtonie:

Hitler chce z was zrobić niewolników. Jest on światowym wrogiem publicznym nr 1, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Pomagając Hitlerowi, stajecie się naszymi wrogami. Powinniście zdecydować się, co zamierzacie robić i na piśmie poinformować nas o tym.

Jednakże, gdy 27 grudnia 1941 roku Churchill w Waszyngtonie spotyka się z Rooseveltem, amerykański Departament Stanu stanowczo sprzeciwia się nawet częściowemu udziałowi w tym spotkaniu przedstawiciela Wolnej Francji (de Gaulle'a — przyp. red.): *Przestraszylibyśmy Vichy!* Ambasador Leahy nie tylko nie pakuje walizek, ale własnoręcznie wręcza Petainowi życzenia noworoczne Roosevelta z okazji nadejścia roku 1942:

Drogi Marszałku Petain,

Z okazji zbliżającego się Nowego Roku pragnę przekazać Panu swoje życzenia, a także na piśmie potwierdzić zadowolenie, którego źródłem są Pana niedawne zapewnienia przekazane mi przez admirała Leahy'ego.

Teraz, gdy mój kraj jest aktywnie zaangażowany w walce narzuconej mu przez agresywne państwa, ponowione przez Pana zapewnienia, że francuska flota nie zostanie użyta dla wspierania Niemiec i że nie zezwoli się państwom Osi na wykorzystywanie francuskiego terytorium lub baz francuskich, służą umocnieniu tradycyjnych więzów istniejących między naszymi narodami.

* * *

Jeden z rozdziałów książki Nerin E. Guna poświęcony jest losowi, na jaki rząd Petaina skazał b. przywódców Trzeciej Republiki, których więziono i którym wytoczono proces. Jednym z nich był znany działacz socjalistyczny, były premier rządu francuskiego, Leon Blum.

Blum ze swojej celi więziennej przekazał ambasadorowi Leahy'emu list skierowany do prezydenta Roosevelta. W liście tym działacz socjalistyczny szeroko informuje prezydenta USA o nastrojach we Francji, o narastającej fali oporu przeciwko okupantowi niemieckiemu i polityce rządu Petaina. Roosevelt z pewnością nigdy nie przeczytał załączonego do listu opracowania dotyczącego m.in. problemów polityki francuskiej i również nie uważał za wskazane odpowiedzieć na list Bluma. Poglądy socjalisty raziły amerykańskie ucho, nawet *postępowego* prezydenta, który był autorem *New Dealu*.

Cordell Hull, proszony o zainteresowanie się losem rodziny Leona Bluma, 1 stycznia 1943 r. pisał, co nie bez goryczy odnotowuję:

Nie należy zajmować się tym. To nie nasza sprawa. Wszelka prośba o informacje mogłaby Niemców tylko poirytować.

A gdy po śmierci Roosevelta zawiadomiono Trumana o uwolnieniu Leona Bluma, tymczasowo przebywającego u Amerykanów na Capri, nowy prezydent USA odmówił wysłania gratulacji temu *lewicowcowi*. Zmienił zdanie dopiero w parę tygodni później, ulegając naleganiom nowego ambasadora USA w Paryżu, *Caffery'ego*. *No cóż, archiwa są bezlitosne...*

KRONIKA TYGODNIA

Dwa wydarzenia minionego tygodnia wysuwają się zdecydowanie na plan pierwszy: **posiedzenie Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych Państw-Stron Układu Warszawskiego w Berlinie** oraz **posiedzenie Komitetu Ministrów Obrony Państw-Stron Układu Warszawskiego, które odbyło się w Warszawie.** Oba łączyły się z tą samą główną problematyką: rozbrojeniową, dziś, jak wiadomo, najważniejszą i najpilniejszą.

Sytuacja aktualnie — potraktujmy to przypomnienie jako punkt wyjścia — przedstawia się tak: w połowie roku podpisany został w Wiedniu przez szefów państw ZSRR i USA układ o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych, ale nie wszedł jeszcze w życie, ponieważ w Stanach Zjednoczonych trwa debata ratyfikacyjna. Wczesną jesienią coraz głośniej w USA, a potem w europejskiej siedzibie NATO zaczęto mówić o nowych planach zbrojeń, a przede wszystkim o produkcji i zamiarze rozmieszczenia w Europie zachodniej nowych rodzajów amerykańskich rakiet jądrowych. W październiku L. Breżniew przedstawił kolejne propozycję rozbrojeniowe ZSRR, uzgodnione z pozostałymi państwami socjalistycznej wspólnoty. Jest wśród nich i taka, która ma uniemożliwić wprowadzenie nowych broni na nasz kontynent. Radziecki przywódca zaproponował na ten temat podjęcie pilnie rokowań, ale nacisk na dalszą militaryzację strony zachodniej, wywierany przez koła wojskowe, trwa...

W takim to momencie zbiera się wspomniany Komitet Ministrów Spraw Zagranicznych, **aby przestrzec przed następstwami dalszego rozwijania wyścigu zbrojeń, przypomnieć rozbrojeniowe propozycje krajów socjalistycznych, a niektóre z nich przedstawić pełniej oraz wyrazić nasz pogląd na temat ustalonego na rok przyszły madryckiego spotkania** przedstawicieli państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego w Helsinkach.

Obszerny komunikat o tym posiedzeniu wypełniony jest wielu ocenami, sugestiami oraz propozycjami. Zwróćmy uwagę tylko na trzy sprawy.

NATO, jak to już wyżej stwierdziliśmy, zamierza rozwijać zbrojenia, wprowadzając nowe rodzaje broni na nasz kontynent. Jest to sprzeczne z polityką odprężenia i skomplikowałoby sytuację jeszcze bardziej. Rozumowaniu: najpierw się dozbroimy, a potem ewentualnie będziemy rozmawiać — ministrowie w Berlinie przeciwstawili stanowisko krajów socjalistycznych: powzięcie decyzji o produkcji i rozmieszczeniu nowych rodzajów broni rakietowo-jądrowej średniego zasięgu i realizacja tej decyzji **„zniszczyłyby podstawę rokowań".** Dlatego trzeba zaniechać działań, które stanowiłyby przeszkodę i rozpocząć bez zwłoki rzeczowe rokowania na temat problemów, dotyczących tej broni. Kraj lub rząd, który działałby w przeciwnym kierunku, **„wziąłby na siebie wielką odpowiedzialność wobec ludzkości".**

W maju kraje wspólnoty socjalistycznej zaproponowały zwołanie ogólnoeuropejskiej konferencji na szczeblu politycznym, której celem byłoby rozpatrzenie problemów odprężenia militarnego i rozbrojenia. Teraz ministrowie wyrazili swój pogląd na temat zagadnień, które powinny być rozpatrzone i przebiegu konferencji. A więc należałoby omówić zarówno środki budowy zaufania, jak też kroki zmierzające do zmniejszenia koncentracji i redukcji sił zbrojnych oraz zbrojeń.

„Celowe będzie — czytamy w komunikacie — rozpatrywanie problemów i uzgadnianie konkretnych ustaleń etapami, poczynając od posunięć prostszych i stopniowo przechodząc do większych i dalej idących. Praca konferencji powinna być tak zorganizowana, aby z etapu na etap zapewniony został stały postęp..." Na początku konferencja powinna skoncentrować się na środkach budowy zaufania i my widzimy możliwość rozpatrzenia w tej części pięciu spraw, które konkretnie zostały wymienione. Wszystkie łączą się z większymi ćwiczeniami wojskowymi czy też ruchami wojsk, uprzedzaniem o nich i ograniczaniem liczby uczestników.

Ministrowie wyrazili swe stanowisko wobec spotkania madryckiego, podkreślając m.in. że powinno ono „przyczynić się do osiągnięcia porozumienia co do militarnych aspektów bezpieczeństwa europejskiego, do zastosowania odpowiednich, skutecznych środków, a zwłaszcza do zwołania konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Ważne jest także, aby zgodnie z postanowieniami helsińskiego Aktu Końcowego spotkanie to sprzyjało podjęciu kroków, zmierzających do rozwijania bez przeszkód szerokiej wymiany handlowej oraz współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej między wszystkimi uczestnikami KBWE. Jest również rzeczą istotną, aby wniosło ono wkład w pogłębienie współpracy w dziedzinie kultury, nauki, oświaty i sztuki oraz w innych dziedzinach humanitarnych".

Kraje socjalistyczne ponownie wyraziły gotowość prowadzenia konsultacji i uzgadniania w ich toku, **w jakich zagadnieniach, wynikających z Aktu Końcowego mogą być podejmowane konkretne kroki.** Chodzi zwłaszcza o takie, które rokują nowe możliwości rozszerzania współpracy i poprawy klimatu politycznego na europejskim kontynencie.

W. SŁAWSKI

EUROSTRATEGIA NATO

Jak informują zachodnie agencje prasowe, szerokie kręgi społeczeństw krajów zachodnioeuropejskich popierają radziecką propozycję niezwłocznego rozpoczęcia rozmów w sprawie redukcji jądrowych systemów średniego zasięgu na kontynencie europejskim. Przedstawiciele różnych partii politycznych, związków i organizacji społecznych żądają od rządów swoich krajów pozytywnej odpowiedzi na pokojową inicjatywę ZSRR i odstąpienia od zamiaru rozmieszczenia nowej amerykańskiej broni rakietowo-jądrowej na swoich terytoriach. Dziesiątki tysięcy ludzi wzięło udział w masowych manifestacjach i demonstracjach protestu, jakie odbyły się w Belgii, Holandii, RFN, Danii, Norwegii i wielu innych krajach Zachodu.

Potężna demonstracja potępiająca plany rozmieszczenia amerykańskiej broni rakietowo-jądrowej w zachodniej Europie, odbyła się w tureckim mieście Izmirze, gdzie znajduje się kwatera sztabu dowództwa południowego skrzydła NATO. Manifestacja, w której wzięli udział przedstawiciele 59 różnych politycznych, demokratycznych, związkowych, młodzieżowych i studenckich organizacji odbyła się z inicjatywy Tureckiego Stowarzyszenia Zwolenników Pokoju. Demonstranci zażądali także likwidacji amerykańskich baz wojskowych rozlokowanych na terytorium Turcji oraz wycofania się Turcji z NATO.

Problemy bezpieczeństwa Europy i, przede wszystkim, stanowisko RFN wobec planów produkcji i rozwijania na kontynencie europejskim nowej amerykańskiej broni rakietowo-jądrowej, zajmowały ważne miejsce w rozmowach ministra spraw zagranicznych rządu ZSRR, A. A. Gromyki z kanclerzem federalnym H. Schmidtem oraz innymi zachodnioniemieckimi przywódcami w Bonn. Radziecki minister podkreślił, iż wszelkie próby prowadzenia rozmów ze Związkiem Radzieckim z pozycji siły są z góry skazane na fiasko i — jak to obrazowo określił — pachną polityczną naftaliną.

Problemy pokoju i bezpieczeństwa w Europie już od wielu lat uważa się za nie cierpiące zwłoki. Przy każdym rozwinięciu spirali wyścigu zbrojeń, ilościowym jakościowym, problemy te nabierają nowych i złożonych aspektów. Politycy, którzy próbują spoglądać na Europę i problemy jej bezpieczeństwa wyłącznie z punktu widzenia „teatru przyszłej wojny", i przeciwstawiając się tzw. niebezpieczeństwu ze Wschodu, grożą użyciem tych czy innych rodzajów broni (których produkcja zawsze znajduje szybką odpowiedź), sprowadzają na bezdroża wszelkie wysiłki w rozwiązaniu problemu ograniczenia zbrojeń.

Istniejące dziś w Europie arsenały środków masowej zagłady w zupełności wystarczają, żeby zniszczyć na naszym kontynencie wszelkie przejawy życia. Można sobie wyobrazić, jaki ten arsenał będzie jutro, jeżeli zostaną urzeczywistnione projekty „modernizacji" i zwiększenia ilości broni jądrowej już rozmieszczonej w bazach NATO w zachodniej Europie. Dlatego też propozycje, z którymi sekretarz generalny KC KPZR i przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Leonid Breżniew, wystąpił w Berlinie, należy uznać za inicjatywę o ogromnym znaczeniu politycznym, zdolną do rozładowania wojskowo-politycznego napięcia w Europie.

Przy dzisiejszym nagromadzeniu broni w Europie należy podkreślić ogromną odpowiedzialność krajów naszego kontynentu za kształtowanie sytuacji politycznej w skali międzynarodowej. Rola Europy w poszukiwaniu dróg kolektywnego i ogólnego bezpieczeństwa nie jest rolą samą w sobie, rolą, która nie wywiera wpływu na bezpieczeństwo międzynarodowe. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu odprężenia między Wschodem a Zachodem, o którego rozwoju zadecydowało w Helsinkach 35 krajów świata, tę ogromną odpowiedzialność Europy w zachowaniu i umocnieniu pokoju na świecie uważano za najważniejszy element naszej epoki.

Nie można zapominać, iż ogólna siła tylko amerykańskich pocisków jądrowych rozmieszczonych w Europie jest równa 230 tysiącom bomb o sile 20 kiloton każda (20 kiloton — siła bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę). Jeśli dodać do tego 7 tysięcy amerykańskich pocisków jądrowych o mocy 1 megatony każdy, rozmieszczonych na terytorium RFN, to na jednego mieszkańca w krajach członkowskich NATO przypada jądrowy potencjał wybuchowy równy dwóm tonom! Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę śmiercionośny potencjał wojskowy amerykańskich okrętów i sił morskich, dysponujących tysiącem pocisków jądrowych, które mogą się znaleźć u brzegów Europy.

Rozpatrując NATO-wskie projekty rozmieszczenia amerykańskich rakiet jądrowych średniego zasięgu „Pershing 2" i rakiet skrzydlatych w krajach Europy zachodniej, byłoby błędem oceniać je jako uzasadnioną odpowiedź na obecność radzieckich rakiet SS 20. Oto już w połowie czerwca 1975 roku — donosiła o tym prasa holenderska — na tajnym spotkaniu ministrów obrony siedmiu krajów NATO, Amerykanie wystąpili z planami rozmieszczenia w zachodniej Europie nowych systemów broni atomowej. A zatem twierdzenie, że kraje zachodnioeuropejskie, a przede wszystkim RFN, same rzekomo zażądały przezbrojenia jądrowego, nie odpowiada prawdzie. Obecnie twierdzi się, iż nowe systemy rakiet średniego zasięgu są odpowiedzią na analogiczne radzieckie rakiety SS 20. Ale czyżby latem 1975 roku nie wiedziano w NATO o tej radzieckiej rakiecie na ruchomej podstawie?

W 1975 roku angielska gazeta „The Guardian" opublikowała szczegółową informację, która zwróciła ogólną uwagę opinii publicznej na nową atomową strategię USA, opracowaną dla zachodniej Europy. Korespondent norweskiej gazety „Dagbladet" w Londynie, J. Thustad, przekablował ten artykuł do Oslo, gdzie ukazał się on 13 czerwca 1975 roku na łamach tejże gazety pod wielkim tytułem: „NATO opracowuje nową złowieszczą strategię atomową". „The Guardian" pisał wówczas: „Wielu wojskowych przywódców NATO, wychodząc z obecnej, stosunkowo słabej pozycji przymierza, żąda wyposażenia arsenałów NATO w taktyczną broń atomową. Uważają oni, że w wypadku wybuchu wojny między NATO a Układem Warszawskim, NATO powinno zadać cios jako pierwsze". Jeśli więc obecnie jakiś zachodni polityk mówi, że początek debaty nad problemem nowych amerykańskich rakiet jądrowych średniego zasięgu odnosi się do 1977 roku, to przeczy to wspomnianemu artykułowi, zamieszczonemu w dobrze poinformowanym dzienniku „The Guardian".

Gęstość rozmieszczenia sił zbrojnych w Europie jest sześć razy większa niż w Azji, dwadzieścia razy większa niż w Ameryce Łacińskiej, trzydzieści razy większa niż w Afryce. Mimo to, po obu stronach Atlantyku narasta obecnie organizowana z wielkim rozmachem i dobrze zsynchronizowana kampania, która na różne sposoby falsyfikuje dane dotyczące sił zbrojnych w Europie, żeby zmusić zachodnioeuropejskie społeczeństwa do przełknięcia gorzkiej pigułki wojskowych budżetów. Jeśli przeanalizować globalne plany NATO, które zamierza ono zatwierdzić w połowie grudnia br. na sesji Rady NATO w Brukseli, to łatwo jest utwierdzić się w przekonaniu, iż są one ukierunkowane na ominięcie ilościowych i jakościowych ograniczeń, wprowadzonych do porozumienia SALT II.

Tak więc Europa stoi dziś przed wyborem. Jedna droga prowadzi do zaostrzenia sytuacji na kontynencie, do podsycania wyścigu zbrojeń, druga zaś do zmniejszenia arsenałów broni, do umocnienia zaufania i rozwoju wzajemnie korzystnej współpracy między narodami Europy. Na pierwszą drogę popychają swoich sojuszników z NATO rządzące koła Stanów Zjednoczonych, narzucając nowe systemy broni jądrowej. Drugą drogę wskazują narodom kontynentu propozycje Związku Radzieckiego, które przewidują bezzwłoczne rozpoczęcie rozmów w sprawie odprężenia wojskowego. Główny problem polega na tym, żeby USA szanowały zasadę równowagi sił i bezpieczeństwa. Pod tym względem Związek Radziecki zajmuje niewzruszone stanowisko.

Nie ulega wątpliwości, iż NATO-wska polityka kontynuowania zbrojeń torpeduje osiągnięcia zarówno w dziedzinie odprężenia politycznego, jak i militarnego.

JERZY CZECH

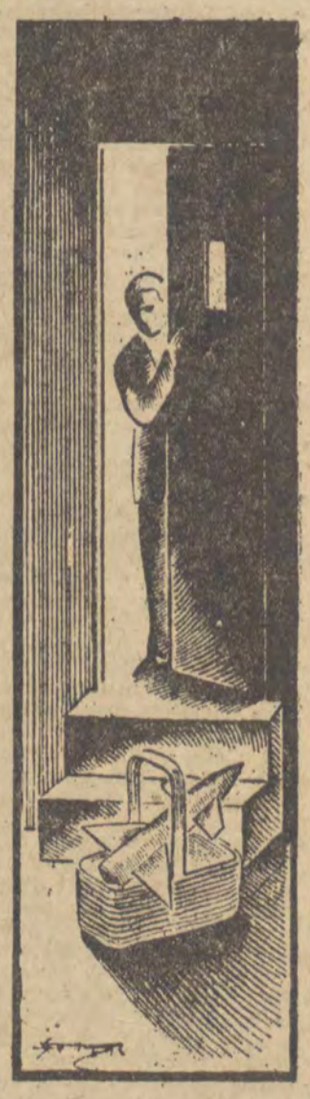

Gwiazdkowy prezent Pentagonu dla zachodniej Europy...

„TIME" — Nowy Jork

GŁOWA DO GÓRY – ZOSTALIŚMY SIÓDMYM MOCARSTWEM ATOMOWYM NA ŚWIECIE!

Rys. Andrzej Adamowicz

HERBERT MARCUSE

Kiedy w 1966 r. ukazało się u nas — notabene bez najmniejszego nawet słowa komentarza — tłumaczenie jednego z podstawowych dzieł Herberta Marcuse „Rozum i Rewolucja", o autorze wiedziano niewiele więcej nad to, że jest on znakomitym znawcą i interpretatorem filozofii Hegla. Nie trzeba jednak było długo czekać, aby jego nazwisko stało się głośne, i to zwłaszcza wśród ludzi, którzy raczej Heglem się na co dzień nie zajmują. Rewolta studentów, która z końcem lat sześćdziesiątych objęła wiele krajów nie tylko Europy Zachodniej, wyniosła nazwisko Marcusego na pierwsze strony gazet, ekrany telewizorów i kronik filmowych. Nieoczekiwanie dla samego siebie stał się on idolem ruchów lewackich i — trzeba mu to przyznać — sprawiał się w tej roli doskonale. Pojawiał się wszędzie tam, gdzie go oczekiwano, w różnych krajach, wygłaszał wykłady i odczyty, uczestniczył w rozlicznych publicznych debatach i dyskusjach, nie stronił od wszędobylskich dziennikarzy. Stał się bohaterem gauszyzmu, jego nazwisko wymieniano w jednym ciągu z nazwiskami Marksa i Mao. Ale nie trwało to długo: po majowych wydarzeniach 1968 roku we Francji entuzjazm dla osoby i poglądów Marcusego począł gwałtownie słabnąć a niedawny idol jął otrzymywać listy z pogróżkami. Niebawem też wycofał się z aktywnego życia uniwersyteckiego i działalności politycznej.

W okresie szczytowej popularności H. Marcusego wśród zrewoltowanej młodzieży krajów kapitalistycznych pisano u nas o nim wiele, najczęściej w konwencji publicystycznej, rzadziej w formie naukowej. Jednakowoż ówczesne próby ogarnięcia i oceny całokształtu poglądów głośnego profesora rzadko kiedy bywały wyczerpujące: z poważniejszych publikacji należałoby odnotować tu przede wszystkim szkice i studia E. i F. Ryszków (1970), J. Szewczyka (1971), a zwłaszcza J. Borgosza (1972). Nie jest to wiele w porównaniu z tym, co napisano wówczas o poglądach H. Marcuse w literaturze innych krajów, przede wszystkim u naszych sąsiadów zarówno ze wschodu, jak zachodu. Trudno się zresztą temu dziwić skoro koniecznym warunkiem jakiejkolwiek poważniejszej pracy o koncepcjach modnego autora jest dokładne zapoznanie się z jego tekstami, które są tyleż liczne, co niezmiernie trudno dostępne w naszych publicznych księgozbiorach. Zestawiona przez Jerzego Wasermana bibliografia prac H. Marcuse za lata 1928—1972 obejmuje 95 tytułów, nie licząc różnojęzycznych wariantów poszczególnych tekstów; nie umiemy też powiedzieć, na ile jest ona pełna. Na lata 1965—1969, kiedy autor cieszył się szczególną popularnością, tekstów Marcusego przypada po kilka i więcej na każdy rok, rozproszonych po najróżniejszych wydawnictwach. W naszych warunkach śledzenie tej powodzi produkcji pisarskiej na bieżąco było doprawdy niemożliwe.

Byłoby z pewnością znacznie lepiej, gdyby książka Jerzego Wasermana pt.: „Krytyczna teoria społeczeństwa Herberta Marcusego" (PWN 1979) ukazała się u nas nie dziś, ale przed laty, kiedy istniało tak ogromne zapotrzebowanie na krytyczną i wszechstronną analizę koncepcji, które tylu młodych ludzi w świecie przyprawiły wówczas o zawrót głowy. Cóż kiedy wówczas rzecz taka powstać nie mogła i nie powstała. Natomiast ówczesna fascynacja Marcusem środowisk lewackich w świecie stała się impulsem dla polskiego badacza kierując jego zainteresowania w stronę Marcusego. I dobrze, że się tak stało, bowiem po upływie paru lat mogliśmy otrzymać rezultat poszukiwań i przemyśleń J. Wasermana, zawarty w jego bardzo interesującej, wartościowej książce. W odróżnieniu od autorów, którzy zajęli się przede wszystkim filozoficzną stroną poglądów Marcusego, J. Waserman zaprezentował analizę, skupioną na jego zapatrywaniach społecznych i politycznych, a także „ich praktycznych implikacjach w walce ideologicznej między socjalizmem, a kapitalizmem". Dlatego też rozpatrywał on teorię swojego bohatera „w ścisłym związku z procesami społecznymi i politycznymi w okresie ostatniego pięćdziesięciolecia", wskazując na to, w jakiej mierze i w jaki sposób „uwarunkowały one jej powstanie, ewolucję i ostateczny kształt". W związku z tym kierunkiem swoich poszukiwań starał się autor dotrzeć do „epistemologicznych źródeł" koncepcji H. Marcusego oraz do tych podstawowych koncepcji filozoficznych, „które w największym stopniu rzutowały na jego stosunek do głównych problemów naszej epoki".

Trudno się temu dziwić, że konkluzje, do których doszedł J. Waserman w swych badaniach nad koncepcjami teoretycznymi H. Marcusego nie mogły doprowadzić do zbyt entuzjastycznych ocen ich naukowej wartości, co wszakże nie oznacza, by autor starał się je przedstawić jako nic więcej, jak tylko bezładny niekoherentny bełkot. O teorii swojego bohatera powiada więc J. Waserman krytycznie, że „poważne metodologiczne i merytoryczne błędy dyskwalifikują tę teorię pod względem naukowym; wbrew jej samoocenie i potocznym opiniom nie ma ona nic wspólnego z marksizmem ani w dziedzinie założeń filozoficznych, ani w zakresie teorii rozwoju społecznego, ani też teorii polityki; tysonans między etyczno-humanistycznymi postulatami a pesymizmem w kwestii ich praktycznej realizacji każe zakwalifikować tę teorię jako regresywną utopię społeczną; wreszcie — wbrew radykalnie postępowym hasłom, co więcej, zapewne wbrew intencjom autora — teoria pełni obiektywnie antypostępową funkcję". Nie jest ona dziś zresztą tak popularna, jak niegdyś, chociaż nie została całkiem zapomniana. J. Waserman przytacza w swej książce znamienną wypowiedź zachodnioniemieckiego marksisty R. Steigerwalda, który powiada, że wielu dawnych zwolenników sławnego profesora „traktuje Marcusego jak zdechłego psa, w rzeczywistości jednak, dawniej i teraz, pozostaje pod względem teoretycznym i praktycznym pod jego głębokim wpływem". Polski badacz doszukuje się oddziaływania koncepcji teoretycznych Marcusego we współczesnych koncepcjach terrorystycznych o motywacji ekstremistyczno-lewackiej, chociaż nie sądzi, by należało dopatrywać się tu jakichś związków o charakterze bezpośrednim. „Nie należy sądzić — powiada J. Waserman — że Marcuse oczekiwał takich właśnie realnych skutków swoich teoretycznych rozważań. Nie zmienia to jednak faktu, że istnieje zadziwiający paralelizm między niektórymi przynajmniej politycznymi poglądami profesora, a działalnością terrorystów". Nie ulega także wątpliwości — kontynuuje autor — „że epigoni marcuseanizmu wyciągnęli konsekwentnie i do końca wnioski, płynące z twórczości swego dawnego mistrza, wnioski, przed sformułowaniem których wzdragał się sam autor. Tak oto — w zgodzie czy też niezgodzie z własnymi intencjami — Marcuse zbiera gorzkie owoce swojej „krytycznej teorii" społeczeństwa".

Wśród wątków myśli H. Marcuse, aktualizujących się raz po raz w poglądach różnych współczesnych nam działaczy i myślicieli, istotne miejsce winno przypaść zaproponowanemu przezeń rozumieniu teorii materializmu historycznego. Sprawa ta, której J. Waserman poświęcił nieco uwagi zasługiwałaby na osobne, wszechstronne rozpatrzenie, chyba jednak nie w kontekście monografii o autorze „Rozumu i Rewolucji", ale w nieco innym: współczesnych światowych dyskusji, dotyczących rozumienia podstawowych kategorii tej teorii. Interpretacja marcuseańska — którą J. Waserman odtwarza w swojej książce, nie umieszczając jej wszakże w szerszym kontekście innych poglądów — jest bowiem dialektycznym przeciwstawieniem podobnie, chociaż w diametralnie odmienny sposób, niedialektycznej interpretacji wspomnianej teorii, znanej nam dobrze z poglądów autora rozważań o „marksizmie w językoznawstwie". Ścisły, naturalistyczny niemal determinizm tej ostatniej, został u Marcusego zastąpiony równie adialektycznym... indeterminizmem albo czymś, co można by nazwać determinizmem świadomościowym (!), sprowadzającym historę do subiektywnej kreacji ludzkiej świadomości. Byłoby sprawą wielce interesującą zastanowić się, jak dalece inspiracje marcuseańskie — a także inne — oddziałały na koncepcje określane mianem praksistycznych, jak również podobne do nich interpretacje interesującej nas teorii, pojawiające się dziś wcale często i to nie tylko w bardzo odległych od nas krajach.

„Marcuseanizm — powiada J. Waserman na zakończenie swoich rozważań — mimo przydawanych mu „neomarksistowskich" kwalifikacji, niewiele ma wspólnego z marksizmem, poza częściową zbieżnością terminologiczną i pojedynczymi zapożyczonymi odeń pojęciami. Bo cóż może mieć wspólnego z marksizmem teoria, która materializmowi historycznemu przeciwstawia idealistyczne pojmowanie procesów społecznych, dialektyce ruchu i rozwoju — antydialektykę negacji, historyzmowi — ahistoryzm, historiozofii klasowych konfliktów społecznych — historiozofię antynomii między jednostką a społeczeństwem, proletariackiej rewolucji socjalistycznej — rebelię radykalnych mniejszości w imię wyzwolenia popędów? „Realista myli dana mu rzeczywistość z rzeczywistością". Marcuse zaś myli rzeczywistość z własnymi o niej wyobrażeniami, przedstawiającymi w dodatku wytwory swojej fantazji jako zradykalizowany marksizm. (...) Teoria Marcusego stanowi istotnie nawrót do przedmarksowskiej myśli, i to myśli pozbawionej związków z rzeczywistością. Myśl taką zwykło się tradycyjnie nazywać utopią społeczną. Istnieje wszakże doniosła różnica między dawnymi utopiami a utopią Marcusego: te pierwsze, mimo swej nierealności, przybliżały jednak myśl ludzką ku socjalizmowi, ta druga — oddala ją od socjalizmu". Słowa te starczą za konkluzję.

LEKTOR

Publikując, w 10 rocznicę śmierci Stanisława Czernika, ten kontrowersyjny szkic dotyczący Jego twórczości, mamy nadzieję, że stanie się on bodźcem do szerszej dyskusji o postawach poetyckich, a także postawach krytycznych.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

DROGA CZERNIKA

Bywają wspomnienia, których natarczywość, jak i niedopowiedzenia, powodują, iż w końcu wkraczają na ten obszar psychiki, który zwiemy sumieniem. I tak w pamięci utkwiło mi jedno z pierwszych, w zasadzie pierwsze dłuższe, spotkanie ze Stanisławem Czernikiem, jakie miało miejsce popołudniem 10 października 1962 roku w jego przestronnym mieszkaniu w Łodzi przy ulicy Mickiewicza 8. Słowa poniższe mają być — żywię nadzieję — dokonaniem rachunku sumienia, sumienia nurtującego mnie od lat siedemnastu.

Siedemnastoletni wielbiciel jednej z uroczych dziewięciu pań z Helikonu zgłosiłem się z wierszami do pana, którego twarz raz widzianą pamięta się zawsze, twarz kojarzącą się — nie wiem dlaczego — z twarzą prawego i świadomego swej wartości kmiecia gdzieś z czasów Mieszka i Chrobrego. Umówiliśmy się, że przyjdę po „ocenę" wyznaczonego dnia. Jakiś tajemniczy urok pradawności emanujący z oblicza Mistrza Stanisława nie bardzo przystawał w moim umyśle do słów, których słuchałem, a których raczej nie chciałbym wówczas słyszeć. Dobroć promieniejąca z archaicznej twarzy i surowość osądu. To mi coś nie pasowało. Z wielką rezerwą odnosił się Czernik do mojej nieposkromionej wyobraźni, szalonych metafor i odległych skojarzeń — cóż tam dużo mówić — wyzwolonych z obręczy logiki. W pewnej chwili zatrzymał się nad przenośnią zupełnie niewyszukaną: *trzymam cię jak zakochaną gitarę, z której można czerpać gamę dźwięków miłosnych.* — Jak można czerpać dźwięki? — zapytał wielce zdziwiony. **Można wodę czerpać ze studni. Zresztą zajrzyjmy do słownika Doroszewskiego** — powiedział i odczytał stosowne hasło. Skonfundowałem się okrutnie, ja — naonczas rażony poezją Przybosia i w jakimś stopniu hołubiony przez autora *Próby całości*. A tu taki Czernik — pomyślałem w duchu — jak on śmie tak o mnie wyrokować. Zastanowiło mnie jedno: czy może poeta nie mieć wyobraźni? Czernik — poeta bez wyobraźni. Z takim wówczas wyszedłem przeświadczeniem. I w zasadzie po dzień dzisiejszy tego zdania nie zmieniłem, ale za to uległ i w dalszym ciągu ulega gruntownym przemianom mój sąd o poezji autora *Wiatru od Ziemi*. Ów brak wyobraźni można zastąpić innymi walorami; wszakże przed blisko pięćdziesięciu laty Wiktor Weintraub wykazał, jak Kochanowski brak wyobraźni plastycznej nadrobił doskonale walorami intelektualnymi. Wierszom Czernika bowiem brak i płynności rytmicznej, i sugestywności obrazów i wizyj, ironii, dowcipu itp. Mimo te bądź co bądź istotne mankamenty twórczość ta zasługuje ze wszechmiar na uwagę, jest poważną propozycją artystyczną, czego dowodem zainteresowanie autentyzmem wśród młodego pokolenia literackiego.

W dziele poetyckim Czernika dominuje świat rzeczy, na co już wielokrotnie wskazywała krytyka. Hasło powrotu do rzeczy rodzi się wonczas, kiedy przybiera na sile zwątpienie w urzeczywistnienie ideologii czy nawet pewnych idei. Rzeczy to sfera gwarantująca w miarę pewny grunt — takie jest potoczne przekonanie — to jakiś punkt oparcia lub wyjścia i — zjawisko najbardziej pospolite — punkt zaczepienia. Najczęściej są one ostatnią deską ratunku i świadczą w istocie o chwiejności światopoglądowej tego, który nawołuje do powrotu do nich. Ale wracamy do rzeczy i wtedy, gdy giniemy w metafizycznych miazmatach, gdy myślenie i byt są prostymi równoległymi, nie mającymi szans bycia tożsamymi.

Program Czernika wyrósł między innymi na gruncie negacji estetyki Awangardy Krakowskiej. Wprawdzie w latach trzydziestych poeta nie mógł jeszcze zdawać sobie sprawy z konsekwencji poetyki awangardowej. Peiper i Przyboś też głosili reizm. Ten ostatni tak dynamizował rzeczywistość doświadczaną zmysłami, tak wprowadzał ją w różne rodzaje ruchu, że w końcu zrodziła się wielość rzeczywistości równorzędnych, co w konsekwencji doprowadziło do relatywizacji słowa, rzeczy, wartości, zwłaszcza u jego następców np. T. Karpowicza. O ile Przyboś postulował poetycki pankreacjonizm, o tyle Czernik obrał drogę w odwrotnym kierunku, tzn. nie pogrążania się w świetlistej jedni, a wydobywania z mroków, także przeszłości, przedmiotów i wyrazistego ich określania. Oto pierwszy lepszy przykład.

Nie zmyli kulistości kwadratowy stół.
Podwojona jest okrągłość mis,
Potrojona pagórkami ziemniaków.

Leżą łyżki, jak cynowe blaszki róż:
Tęskniące wydrążenia,
Otchłanie wiecznego braku.

Ze wzgórz,
Ze wzgórz stu
Płyną opary marzenia
Wzwyż —
Wysoko ponad stół:
W pachnącej parze ziemniaków
Cierpiąca ziemia.

(Nad misą ziemniaków)

Pominąwszy porównanie *jak cynowe blaszki róż*, które w wierszu tym pasuje jak przysłowiowy kwiatek do kożucha, wiersz ten jest nie tylko precyzyjnym obrazem martwej natury, ale i czymś więcej — wizją świata. Dominują kształty kuliste i kulistopochodne. Malarze i rzeźbiarze dobrze o tym wiedzą, że wprowadzają one spokój, służą wytchnieniu. Harmonizują tu zatem z porą spożywania posiłku. Występują cztery rodzaje rzeczy: stół, misa, ziemniaki i łyżki, występują bez przymiotników; najbardziej sugestywnie oddane są łyżki dzięki skojarzeniu ich elementarnym uczuciem głodu, nie z przyjemnością, a z potrzebą. Zresztą niewiele znajdziemy w puściźnie Czernikowej wierszy, w których podmiot liryczny delektuje się przedmiotami zbytku. Są tylko potrzeby, elementaria naszej fizycznej przede wszystkim egzystencji. W przypadku owych łyżek głód jest stopniowany; najpierw *tęskniące wydrążenia*, a więc bardzo ogólne i stosunkowo łagodne określenie głodu, następnie zaś *otchłanie wiecznego braku* — to już wyobrażenie niesamowitości, przepaścistości i ponadhistoryczności głodu. Jaką więc rolę pełni rzecz w tym wierszu?

Pragnienia człowieka wyraża Czernik nie drogą opisu przeżyć, uczuć, zachowań, sytuacji, ale poprzez rzeczy, narzędzia produkcji. Będą to pług siekiera motyka, kosa itp. Maszyny nie interesują poety. Czernik zajmuje się światem podstawowych wytworów materialnych człowieka, który to — zdaniem autentysty — wyznacza drogę do kultury duchowej. Wszakże w wierszu *Nad misą ziemniaków* z najzwyklejszego widoku parujących ziemniaków w misce na stole wyprowadza poeta wizję świata, a może nawet i kosmosu. Zaiste na upartego dopatrzyć możemy się trawestacji myśli Talesa z Miletu, który za zasadę świata miał wodę. Czernik operuje tu przeciwieństwami: ciężka, cierpiąca ziemia i lotna para. One wzajem się znoszą (w rozumieniu Heglowskim — aufheben). Syntezę swoistą będą tu stanowić ziemniaki. Trud (praca na roli) i przyjemność (woń parujących ziemniaków) — one dopiero razem, w zespoleniu tworzą wartości. Wspomnieliśmy o formach kulistych bezpośrednio danych w wierszu, natomiast figura, jaką jest koło, została ukryta. Procesy w przyrodzie mają obieg kołowy; niebo (tu para) i ziemia zamykają się w kulistą bryłę kosmosu. Od wizji tej Czernik nie odstąpi po kres swego żywota. Najpełniejszy, najgłębiej filozoficznie uzasadniony wyraz znajdzie w wierszu niezwykłej urody. Mam na myśli *Arche*.

A kim jest człowiek w poezji Czernika? Przypomnijmy znany o dużym ładunku uczuciowym wiersz pt. *Ciężar rąk*.

Rozpłakał się, gdy przyjechałem,
Łzami sześćdziesięciu lat.
Mówił jak do lekarza:
Że wypadły mu naraz wszystkie zęby,
Że nogi jak konwie w przerębli,
Że...
Ale to nic! Gdyby nie ręce.
Każda jak pud żelaza,
W nich — pługi, widły, łopaty, topory
Z całego życia.
Ciężko zwisają, ciężko ważą.
Od nich zęby wypadły,
Od nich nogi obrzękły.
Od nich...

Żył jeszcze kilka tygodni.
Umarł na ciężar rąk.

Człowiek to summa rzeczy, rzeczy, którymi posługuje się na co dzień, wśród których się obraca. Rzeczy w znacznym stopniu ważą o jego człowieczeństwie. *Ciężar rąk* jest wierszem o ciężkiej, mozolnej pracy, którą określają owe pługi, widły, łopaty, topory z całego życia. Człowieka mierzy jego dzieło, świat jego materialnych wytworów. Nie sposób odmówić temu utworowi wielkiej siły wzruszeniowej, sugestywności w nakreśleniu sylwetki ojca. Ale czy jest to wiersz o godności ludzkiej, jeśli w nim mowa o umieraniu na ciężar rąk? Z pewnością nie, bowiem przedmiot zniewala podmiot, człowiek więc pozostaje na służbie swego dzieła.

Pokrewnym treściowo *Ciężarowi rąk* jest liryk pt. *Ręka*. W utworze przed chwilą cytowanym ręka ojca była ciężka *jak pud żelaza*, tu ręka syna-poety dziedziczy *ślady kamiennych toporów,*

drzazgi sochy, odciski cepów, wideł, kołowrotów, żarn. Kształtowały ją dzieje rolników, dzieje bezdziejowe, jako ze sprowadzone do obiegu kołowego ze względu na wciąż te same wykonywane czynności. Jednocześnie jest to ręka lekka, ręka poety, wyzwolona z poniżającego ciężaru tysiącleci. Wartość jej nie zasadza się w tym, że nie przymierza się już do pługa, czy wideł, ale że jest już jak gdyby świadomością tych przedmiotów, jest istotą istnienia chłopów jako klasy społecznej, jest esencją ich egzystencji.

Chłop żyje w przymierzu z ziemią, ponieważ jednak został przymuszony do tego związku, stał się przeto niewolnikiem pracy. Synonimizują go więc złe siły przyrody:

Z ugoru jesteś. Z dzikich roślin.
Z polnego zielska. W tobie — oset.
W tobie chrzan gorzki i szczaw kwaśny.
Gorycz borowin. Cierpkość gleby.

(Z ugoru jesteś)

Chłopa, jego miejsce w społeczeństwie i dziejach, określa tu Czernik poprzez pryzmat świata roślinnego. Chłop jest chwastem, to znów glebą oporną, nieurodzajną. Stąd poeta, wyraziciel swych antenatów, napisze, iż po protoplastach

Gniew wzięłem. Gniewem będę wasze krzywdy liczył,
Bo licząc nie doliczę się prawa gołębi.

(Autenaci)

Nie mówmy o miłości emanującej z wierszy Czernika, która staje się dziwnym trafem wręcz legendą wśród czernikologów. Wielu z nas nie może jeszcze dziś, w dziesięć lat od śmierci poety, uwolnić się od uroku jego postaci. Sylwetkę żywego Czernika nakłada się na ekran jego poezji. Znano i ceniono go za prawość charakteru, sprawiedliwość, wyważone sądy, wysoką godność. Ale w poezji jego nie znajdziemy postulatu miłości do człowieka jako takiego. Jest tylko wyrazicielem i obrońcą chłopów, poetą wyposażonym w głęboko rozwiniętą świadomość klasową. Dziwię się wielce, że krytyka, która uważa się za marksistowską, z taką rezerwą odnosi się do poety pałającego nienawiścią do herbowych. Czernik nie doceniał wkładu kulturalnego szlachty i inteligencji (mówię cały czas o wierszach Czernika, a nie o wypowiedziach eseistycznych). Obcy mu był również robotnik z miasta przemysłowego. Dostrzegał jedynie chłopa, jego trud, jego życie. Ktoś, kto programowo głosi nienawiść, nie może zdobyć się na szeroką skalę wrażliwości i wszechstronne horyzonty poznawcze. Tylko mądra miłość (nie litość ani współczucie!), skierowana do drugiego człowieka bez względu na jego pochodzenie społeczne czy narodowe, gwarantuje humanizm poezji, którego etykietą niestety nie możemy opatrzyć puścizny poetyckiej Czernika.

Poeta ten twierdzi wręcz o wyższości przyrody nad człowiekiem. W wierszach takich, jak *Klechda*, czy *Pościg i ucieczka*, zastanawia się nad tym, czy w ogóle człowiek jest godny świata roślin i zwierząt. Przyroda rządzi się sprawiedliwymi prawami, nie ma w niej okrucieństwa, bo nie została wyposażona w świadomość. Natomiast społeczeństwo ludzkie na skutek postępującego wyrafinowania intelektualnego dopuszcza się coraz większych zbrodni i okrucieństw. Czyżby zapomniał Czernik o słynnej refleksji Pascala z motywem trzciny myślącej? Będąc w przymierzu z naturą, nie rozmawia z człowiekiem. Ileż natomiast serdeczności kieruje pod adresem pługów, dymarek, menażek, konewek, śliw, wierzb, itd., itp.! Dlatego przy dłuższej lekturze odczuwamy nie tylko monotonność, ale i uczuciową oziębłość. W wierszu zatytułowanym *W mediolańskiej katedrze* fitomorfizuje (uroślinnia) poeta polskich żołnierzy, przeobraża ich w drzewa tak charakterystyczne dla polskiego krajobrazu jak wierzby i sosny. W innym wierszu z tegoż wojennego okresu pt. *Boże Narodzenie dzikich mimoz* konstatuje:

I do nas przyjdzie pokój boży,
Już dany wąwozowym kniejom,
Niech tylko ludzie tak zdziczeją
Jak mimozy

To nic innego jak postulat powrotu do łona Wielkiej Matki — Natury. Jest on dziś niemożliwy. Czernik przeszedł interesującą drogę od konkretu do mitu. Cała jego magia poetycka zasadza się na operowaniu konkretami, rzeczami, elementarnymi czynnościami, które pełnią rolę pośrednika między bytem a świadomością, dodajmy — świadomością mityczną. Pięknie i nader klarownie wyłożył to Kazimierz Świegocki w szkicu *Elementy światopoglądu poetyckiego Stanisława Czernika (Rzecz poetycka — środowisko*, Łódź 1975). Wykazał w nim spójność światopoglądową i harmonię poetyckiego świata autora *Delty*. Trudno nie zgodzić się z interpretacją i tezami Świegockiego, ale zastanówmy się teraz nad tym, czego ów krytyk nie dopowiedział, nad konsekwencją takiej postawy i takiego światopoglądu.

Czernik należał do pisarzy o wysokiej samoświadomości, tym samym więc zdawał sobie doskonale sprawę ze swoich ograniczeń. Pragnąc zachować autentyczność, wręcz nieskazitelność swojego *ja*, nie poszedł z biegiem historii. Krytycznie wypowiadał się o awangardowym eksperymentatorstwie i sojuszu poetów z cywilizacją techniczną (por. wiersze *Zagata i sejf, Samoukrzyżowany* i in.). Pisał o swej niehistoryczności:

Stroniący od tych dziejów, wolny od historii,
Wśród rówieśników, którzy żyli historycznie
Albo zginęli pod dziejowym znakiem,
Sam jestem, obcy w „mej" epoce wojen.

(Niehistoryczność)

Nie poczytywał sobie tego za zaszczyt ani też za ujmę. Po prostu stwierdzał fakt. Żyć niehistorycznie i mieć tego pełną świadomość, to zakrawa na niemoralność!

Długo wahałem się, aby w końcu zdecydować się na to określenie. I podtrzymuję je. Dlaczego? Wszystkie europejskie postromantyczne historiozofie uderzają w jeden zgodny ton: historia nie ma nic wspólnego z moralnością. Zwyciężają silniejsi, mądrość przegrywa, głos rozsądku bywa względnie zachowywany i to tylko w okresie między wojnami, a historia to przede wszystkim wojny. Postęp cywilizacyjno-techniczny rozbija wspólnoty ludzkie, wyobcowuje człowieka, oddając go w niewolę rzeczom. Żyć historycznie to wcale nie oznacza jeszcze żyć z karabinem w garści, ale dzielić los z innymi, dawać świadectwo swej obecności tu i teraz, i widzieć siebie w dziejach. Zdobywamy przeszłość — Czernik wszakżę to czynił — nie tylko w celu poznania i wyrażenia jej słowem, ale przede wszystkim w celu zrozumienia tego, gdzie się znajdujemy i dokąd zdążamy. Mówiąc obrazowo — Czernik poszedł drogą, którą przeszli jego chłopscy antenaci. Ale tam, gdzie przeszli, zaraz wiatr historii zawiewał ich ślady. Autor *Wiatru od Ziemi* odgrzebał je, ujawnił z doskonałą wyrazistością. Nie darmo mówi się o archeologii poetyckiej Czernika. Nie poszedł on dalej. Odżegnał się od dzisiejszego dnia. Przyszłości nie widział.

Wspomnieliśmy, iż osiągnął ład serca i kosmosu w swej drodze do źródeł. Szedł sam, bez współczesnych. Czy nie jest to ład zbyt abstrakcyjny, mimo nasycenia go rzeczami i czynnościami? Poeta obracał się w czasie mitycznym, w sferze sacrum. Wszystko, co historyczne i zmienne, było dlań sferą profanum. Nie usiłował nawet konfrontować tych dwóch obszarów ludzkiego doświadczenia. A przecież dobrze wiemy, że jesteśmy skazani na historię. Nieobca jest nam też sfera doznań ponadczasowych. Samo przeżycie poetyckie ma charakter transcendentalny. Przyjęło się uznawać te sfery za przeciwstawne sobie. Gdy zaczniemy je zgłębiać, okazuje się, że wzajem są od siebie zależne. Żyjąc siłą rzeczy w historii bywamy nią zmęczeni i to znużenie zmiennością, nietrwałością powoduje tęsknotę za czymś wiecznym, stałym, niezmiennym, za ładem, także ładem procesu historycznego. Z kolei nie można żyć wciąż w czasie zatrzymanym i być oderwanym od zwykłych codziennych czynności, uwolnionym od lęków, pospolitych doznań, gorączki dnia powszedniego itp. Czy nie można więc zadać sobie trudu poszukiwania wspólnej płaszczyzny dla tych dwóch sfer? Wówczas mielibyśmy bardziej wszechstronny ogląd rzeczywistości.

Jedną ze znamiennych cech naszych czasów jest pogłębiająca się nieustannie specjalizacja, rozbicie języka, brak porozumienia między reprezentantami poszczególnych dziedzin. Niestety specjalizacja sięgnęła i sztuki. Mamy wielu dobrych poetów, głęboko orzących grunt świadomości lub podświadomości. Najczęściej jednak są to poeci o ograniczonej skali wrażliwości. Zaważyło na tym nadrzędne kryterium oryginalności stylu. Jeśli celem staje się oryginalność, niepowtarzalność, a nie dążenie do wszechstronnego oglądu rzeczywistości, do poznania prawdy całego, a nie zatomizowanego, człowieka, to będziemy mieli dobrych poetów-specjalistów, ale nie poetów wielkich.

Na początku niniejszego wywodu podkreśliliśmy brak wyobraźni poetyckiej u Stanisława Czernika. Pora objaśnić, co przez nią rozumiemy. Czy to tylko sprawa metafory? Przytoczmy dwa przykłady:

Gór tych wioska
Tak od ubóstwa szersza,
Jak niebo szersze od chmur.

(Dobrudża)

Tu wąwozy zwą się: uedy.
Kamiennym płyną dnem.
Kwitną różowym oleandrem.
Nocą jak mary wpadają do miasteczka.

(Cykady wśród uedu)

Zarówno metafora, jak i obraz poetycki, godne uwagi. Niebanalne. Można mnożyć przykłady. Bywa, że całe wiersze Czernika są jedną metaforą (np. *Stary pług, Dymarka, Ciężar rąk* itd.). Poezja uchodzi za kunsztowny wyraz inteligencji. I słusznie. Inteligencja to umiejętność kojarzenia. Im skojarzenia są bardziej zaskakujące i jednocześnie trafne, tym poezja lepsza. Wyobraźni się nie ma, wyobraźnię się zdobywa. Stulecie obecne zmusza nas do trudnej wyobraźni, trudnej w tym znaczeniu, że musi obejmować refleksję jak gdyby w dwóch płaszczyznach: wertykalnej i horyzontalnej, czasowej i przestrzennej. Najciekawsza jest wtedy, gdy płaszczyzny te przecinają się, gdy element przestrzenny zderzany jest z elementem czasowym. U Czernika wyobraźnia skierowana była wyłącznie w głąb, w dół, a nie wzwyż i miała wyraźnie agrarne piętno. Wyobraźnia głęboka i przy tym bardzo ograniczona.

Ponieważ zacząłem od wyznania osobistego, przeto i czymś podobnym zakończę. Otóż nie mogę uwolnić się od pewnego imaginacyjnego obrazu. Jest późne, lipcowe popołudnie niedzielne. Wychodzę na spacer za rodzinne Poddębice. Idę drogą na zbożne wzgórze. Blisko szczytu widzę sylwetkę niewysokiego mężczyzny. Zbliżając się dostrzegam, że zrywa kłos żyta i po gospodarsku rozciera go w dłoni. Teraz już poznaję. To pan Stanisław Czernik. Wita mnie życzliwie rozpogodzonym, ogorzałym obliczem i mówi, że znakomity będzie urodzaj. Wspomina, że podobał mu się mój głos w dyskusji na ostatnim festiwalu poezji. Potem, gdy już *ognisty wóz Heliosa* zbliża się do krańca nieboskłonu, mówi, że trzeba iść na wieczerzę. Tu charakterystycznie załamuje mu się głos i dopowiada z zapytaniem — wieczerzę rodzaju ludzkiego? Następnie w milczeniu idziemy przez wieś, wieś pełną starych chałup, omszałych cembrowin, drewnianych płotów. Wieś się kończy, idziemy dalej drogą, która nagle się urywa. Przed nami rozpościera się bezkresny ugór. I wtedy słyszę głos, nie z ziemi i nie z podglebia, a z nieba:

Z ugoru jesteś Z dzikich roślin.
Z polnego zielska. W tobie — oset.

I myślę, i zaczynam wątpić, czy to tylko o polskiego chłopa chodzi.

Referat wygłoszony podczas sesji zorganizowanej 5 grudnia 1978 roku przez Dzielnicową Bibliotekę Publiczną Łódź-Bałuty, Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich i Łódzkie Towarzystwo Miłośników Książki.

TRZY RAZY B

„Uważam, że nie jest zwykłym przypadkiem fakt, iż nazwiska Bacha, Beethovena i Brahmsa rozpoczynają się na tę samą literę" — pisał w 1877 r. sławny dyrygent Hans von Bülow. Dzieła owych trzech mistrzów przyniósł piątkowy koncert prowadzony przez Witolda Krzemińskiego z udziałem skrzypka Krzysztofa Jakowicza.

Gdy Mendelssohn grał staremu Goethemu w roku 1830 Uwerturę z III Suity D-dur Jana Sebastiana Bacha na fortepianie, poeta miał wrażenie, że widzi szereg wystrojonych osób schodzących dostojnie ze schodów. Właśnie ten utwór zawiera słynną Air — cedącą jedną z niestałych części suity okresu baroku — napisaną w tonacji h-moll i przeznaczoną do wykonania przez smyczki z towarzyszeniem basso continuo. Jednej z pierwszych transkrypcji arii na orkiestrę dokonał Gustav Mahler, lecz popularnością cieszy się wersja Wilhelmiego na skrzypce i fortepian — znana jako Aria na strunie G — która została zinstrumentowana przez Grzegorza Fitelberga.

Tego wybitnego dyrygenta, którego setna rocznica urodzin przypada w tym roku, wielbiciele nazywali „mańkutem prawej ręki", lewą bowiem — jak opisuje Jerzy Waldorff — trzymał skurczona przy boku dłonią jej odmierzając takty, zaś tylko prawą — szerokimi, ale i dość gwałtownymi ruchami dawał znaki dynamiczne. Podobny sposób dyrygowania można było zaobserwować u Witolda Krzemińskiego, z tym że ograniczył się jedynie do odmierzania taktu. Aria musiała „zagrać", chociaż dość ociężale, bowiem nie zrobiono nic, aby ją trochę odświeżyć lub nadać rysy bardziej indywidualne.

Kolejnym punktem programu był Koncert skrzypcowy D-dur op. 77 Johannesa Brahmsa, dedykowany Józefowi Joachimowi który napisał do niego kadencje (tym razem usłyszeliśmy kadencje Fritza Kreislera) i był solistą prawykonania w 1879 r. pod batutą samego kompozytora. To właśnie z brawurowym finałem tego utworu, owym allegro giocoso, które jest w rzeczywistości zamaskowanym czardaszem, zmagała się bez powodzenia Róża, bohaterka „Cudzoziemki" Marii Kuncewiczowej. Jednym z pierwszych skrzypków, któremu dało się pokonać trudności Koncertu, był sławny Bronisław Hubermann, który jako 14-letnie dziecko wykonał ten utwór, a Brahms był tak zachwycony jego interpretacją, że zamierzał napisać dla polskiego wirtuoza specjalny utwór.

Być może właśnie ten fakt wpłynął na to, że wszyscy pianiści i skrzypkowie, i to coraz młodsi, m u s z ą grać koncerty Brahmsa. Tymczasem, utwory te należą do najtrudniejszych w całej literaturze, a wykonanie ich wymaga określonych predyspozycji. Nie tylko wirtuozowskich, ale — przede wszystkim — szczególnej dojrzałości muzycznej, która potrafi ujawnić głębokie walory emocjonalne tych utworów oraz nadać, niejednokrotnie szeroko rozbudowanej całości, przekonującą wymowę artystyczną.

Wydaje się, że trudności Koncertu skrzypcowego były ponad siły Krzysztofa Jakowicza. Samo „wyuczenie się" tego utworu nie było jeszcze dostatecznym pretekstem do przedstawienia go publiczności, tym bardziej, że wymagania techniczne sprawiały artyście dostatecznie wiele kłopotu i opracowanie przekonywującej koncepcji utworu było w tym wypadku zbyt skomplikowanym zadaniem. Już w I części, po nieprecyzyjnie zagranym pasażu kończącym ekspozycję, przetworzenie nie stało się ową dramatyczną kulminacją, lecz jedynie nie dość biegle wyćwiczonym „kawałkiem". Niedostateczna sprawność gry akordowej sprawiła, że szeregi tercjowe i sekstowe w finale wypadły chropowato i bezbarwnie, a dołączające się do tego coraz większe trudności intonacyjne, spowodowane zapewne zdenerwowaniem skrzypka, doprowadziły do tego, że z ulgą usłyszeliśmy końcowe tutti orkiestry. Najlepiej wypadło jeszcze kantylenowe adagio, które jednak ujawniło, szczególnie w wysokim rejestrze, słabości brzmieniowe instrumentu — cichy i cienki ton, nie korelujący z masywnym brzmieniem orkiestry.

Po przerwie usłyszeliśmy II Symfonię D-dur op 36 Beethovena, którą kompozytor ukończył w 1802 r. Ta klasyczna, w pogodnym haydnowskim nastroju utrzymana symfonia, zawierająca po raz pierwszy scherzo zamiast menueta, powstała w okresie postępującej głuchoty Beethovena w tym samym czasie co tragiczny testament z Heiligenstadt. Każe to być dodatkowo ostrożnym w próbach kojarzenia dzieła artysty ze stanem umysłu, w jakim znajdował się, kiedy je tworzył. Dzieło jest często bowiem środkiem oczyszczającym twórcę z melancholii i Wagner twierdził, że symfonie Beethovena opowiadają kolejno o muzyce, która tęskni do wydobycia się ze swego najistotniejszego elementu i wniknięcia we wszechsztukę.

Witold Krzemiński uchwycił to „opowiadanie o muzyce" podkreślając groteskowe rysy symfonii, która pewne zastałe formuły klasyczne doprowadza do przesady, czy nawet je parodiuje: wydobycie partii rogu w epilogach II części, skontrastowanie agogiczne i dynamiczne scherza, ostre i silne akcenty w finale...

Gdyby jeszcze orkiestra umiała jednocześnie zaczynać i kończyć frazy, gdyby nie zbyt piskliwe brzmienie pierwszych skrzypiec, to żywe, pełne werwy i humoru wykonanie byłoby niewątpliwie najlepszym punktem programu.

JACEK KRAKOWSKI

OBOJĘTNOŚĆ

Na małym ekranie (we „Wtorku melomana") mieliśmy okazję obejrzeć ostatnio film o Tansmanie. Film dokumentalny, zrealizowany podczas pobytu kompozytora w Polsce przed dwoma laty.

Aleksander Tansman jest dziś człowiekiem leciwym. Dwa lata temu przekroczył osiemdziesiątkę. Prawie pół wieku minęło od jego półtorarocznej podróży koncertowej dookoła świata. Sporo czasu dzieli go od chwili, gdy jako najmłodszy w dziejach kompozytor otrzymał zaproszenie do Ameryki, lub też gdy jako pierwszy twórca europejski występował w Japonii. W jego długim życiu nie zabrakło ciekawych zdarzeń i interesujących znajomości — był np. w bliższych stosunkach z Ravelem i królową belgijską, z Hindemithem i Einsteinem, z Webernem, T. Mannem, de Fallą, Hemingwayem, „Grupą Sześciu", Modiglianim i Strawińskim... Miał swego czasu sposobność zaopiekowania się Szymanowskim, wprowadzenia go w paryski świat muzyczny, napisania o nim entuzjastycznego artykułu, gdy przyszły autor „Harnasi" (nb. starszy od Tansmana), jako nieznany bliżej nikomu przybysz pojawił się nad Sekwaną. Wielokrotnie był Tansman nagradzany i wyróżniany. Nie tak dawno belgijska Akademia Nauki, Literatury i Sztuk Pięknych nadała mu członkostwo honorowe — przed nim otrzymali je Gounod, Brahms, Verdi, de Falla, R. Strauss, Strawiński i Szostakowicz.

Już w latach dwudziestych utwory Aleksandra Tansmana zyskały ogromną ilość wykonań w Europie i Ameryce. Przez sześćdziesiąt lat jego dzieła symfoniczne znajdowały się w repertuarze najwybitniejszych dyrygentów (choćby Kleckiego, Kusewickiego, Stokowskiego, Toscaniniego), kompozycje solistyczne i kameralne wykonywane były przez najświetniejszych wirtuozów (jak Gieseking, Heifetz, Piatigorski, Rubinstein), opery i balety wchodziły na afisze teatrów muzycznych w największych metropoliach. Dodajmy od razu, że przez te wszystkie lata w Polsce Tansmana nie wykonywało się właściwie wcale. Po wojnie: raz na IV „Warszawskiej Jesieni" i dwa lata temu, w związku ze wspomnianą już wcześniej wizytą.

W zagranicznych encyklopediach i podręcznikach historii muzyki Tansman figuruje jako drugi, po Szymanowskim, czołowy przedstawiciel polskiej muzyki XX wieku (nie biorąc pod uwagę dzisiejszej awangardy). Sam twórca powiada: „... czy moja muzyka jest w kraju znana, czy nie, należę do kultury polskiej. Jestem obywatelem Francji, ale nie zmienia to bynajmniej mojej narodowej przynależności artystycznej, która zresztą dawała i daje nadal o sobie znać w całej mojej twórczości — od początku aż do chwili obecnej".

Tansman wyjechał z Polski mając 23 lata (w r. 1919), a to z tego prostego powodu, że w ówczesnej rzeczywistości nie przewidziano miejsca dla profesjonalnego kompozytora. Osiadł więc w Paryżu, wśród obcych, nie zapominając wszakże jest Polakiem. Potrafił następnie wznieść na wyżyny swą sztukę, stając się jednym z klasyków współczesności. W jego oryginalnej muzyce, bogatej brzmieniowo i kolorystycznie, nacechowanej precyzją szczegółów i elegancją formy, dźwięczy często nuta polska. Irving Schwerke, pierwszy biograf Tansmana, pisał w r. 1931: „Możemy zapewnić, że Tansman to muzyk, który najlepiej z całej generacji wyraża ducha polskiego (...) Jego muzyka, arystokratyczna i delikatna, niesie z sobą fascynujący czar, zbliżony do tego, jaki zawiera magiczna melodyka Chopina". O tym wszystkim mógł się jednak polski meloman dowiedzieć wyłącznie z lektury obcojęzycznych tekstów...

Ignorowanie przez długie lata twórczości Aleksandra Tansmana jest tyleż dziwne co niezrozumiałe. Nie przynosi ono chluby naszemu środowisku muzycznemu, filharmoniom i innym placówkom upowszechniającym muzykę. Przypomnijmy na zakończenie jeden jeszcze istotny szczegół: Tansman urodził się w Łodzi, tu rozpoczął studia muzyczne, tutaj nastąpił jego debiut kompozytorski i w filharmonii przy ul. Narutowicza. W gmachu, który miał się później zamknąć dla jego muzyki.

JANUSZ JANYST

HRABINA

„...Wolelibyśmy, by nam bez potrzeby nie przypominano roli smutnej i poniżającej, jaką część ówczesnego społeczeństwa odgrywała, tym bardziej, że ona z mnóstwem innych, nieprzyjemnych wspomnień się wiąże, a jako przechodnia, wyjątkowa, nieosobliwie przyczynia się do przedstawienia naszego obyczaju, ale zaprzeczyć jej istnienia nie możemy" — pisał w 1860 roku, w parę dni po premierze *Hrabiny*, krytyk muzyczny, Józef Sikorski, bardzo jak widać rozdrażniony nazbyt — jego zdaniem — ostro zarysowanym portretem arystokracji polskiej. *Hrabina* — co gwoli ścisłości historycznej powiedzieć jednak trzeba — długo czekała na uznanie krytyków. Ale publiczność przyjęła to dzieło Stanisława Moniuszki z takim entuzjazmem, że wydany przez Gebethnera i Wolffa wyciąg fortepianowy, wdzięczny za to uznanie kompozytor opatrzył następującą dedykacją: *Publiczności warszawskiej w dowód wdzięczności za uprzejme przyjęcie muzyki i zachętę do dalszej pracy poświęca Stanisław Moniuszko.*

Hrabina, która dopiero teraz pojawiła się na łódzkiej scenie operowej, jest pełną ostrej satyry operą komiczną, w której jednak bardzo wyraźnie widzimy postawione sobie przez jej twórców, przewyższające samą tylko chęć rozbawienia publiczności, cele artystyczne i ideowe. Konfrontacja kosmopolitycznej arystokracji z tym odłamem szlachty, która szanowała polskość we wszystkich jej przejawach, dając w ten sposób przykład patriotyzmu i podnosząc ducha w zgnębionym niewolą narodzie, pozwoliła twórcom poruszyć istotny problem społeczny, waga zaś tego problemu znacznie podnosi rangę dzieła, o którym krytycy, pragnący zbagatelizować jego wymowę ideową, mówili, że jest tylko *dramatem rozdartej sukni.*

Może istotnie konstruujący linię fabularną libretta pomysł jego autora, Włodzimierza Wolskiego, by wiążącym akcję zdarzeniem uczynić fakt sprowokowanego niezręcznością jednego z bohaterów rozdarcia pięknej hrabinie jej balowej kreacji, nie jest rozwiązaniem najbardziej nośnym dramaturgicznie, ale dla dalszego rozwoju akcji stanowi on wystarczający pretekst, a muzyka Moniuszki z nawiązką wynagradza ten niedostatek i to właśnie jej niepodważalna wartość i piękno czynią z *Hrabiny* dzieło godne nie tylko zainteresowania i uznania, ale także stałej obecności na polskich scenach operowych. O muzyce tej przede wszystkim powiedzieć należy, że jest tu wyjątkowo szlachetna. Cechuje ją jednolitość i zwartość, konsekwencja w rozwijaniu poszczególnych, przypisanych danym postaciom motywów, eksponowanie elementów patriotycznych, wprowadzających niemal dosłownie cytaty melodii starych polskich pieśni, a przede wszystkim celne kontrastowanie tych melodii z fragmentami stylizowanymi na operę francuską czy włoską, tym bardziej wartościowe, że przedsięwzięte przez naszego kompozytora dla uzyskania większego efektu dramaturgicznego.

Po *Hrabinę* sięgnął Teatr Wielki w roku jubileuszu dwudziestopięciolecia łódzkiej sceny operowej. Piękny to zamysł, by w tym właśnie sezonie przedstawić publiczności naszego miasta nie znane jej jeszcze dzieło największego z polskich kompozytorów operowych, którego dzieła zawsze poruszają nasze umysły i serca, przynosząc tyle przeżyć, wzruszeń i emocji.

Zaprezentowana nam przez Teatr Wielki inscenizacja *Hrabiny*, swą starannością i troską o kształt artystyczny pozwala wierzyć w powrót tej sceny do jej tak świetnej niegdyś formy. Już sam fakt powierzenia kierownictwa muzycznego tego spektaklu bardzo zasłużonemu dla łódzkiej opery Zygmuntowi Latoszewskiemu, stanowił niepodważalną gwarancję jego wysokiego poziomu. Zygmunt Latoszewski przygotował i prowadził orkiestrę niemal doskonale. Jej drobne potknięcia (do których zaliczyłabym zbyt mocne miejscami brzmienia, odrobinę za głośne piana i mylące solistów nazbyt szybkie zmiany tempa), przypisać należy, jak sądzę, emocjonującej atmosferze premiery. Ono także zaważyło na stronie wokalnej przedstawienia. Wykonawcy głównych partii wydawali mi się w pierwszym akcie nieco skrępowani, jednak dalsze części przedstawienia wyraźnie „ociepliły" scenę. TERESA MAY-CZYŻOWSKA (Hrabina) ładnie zaśpiewała arię z drugiego aktu, a pięknie — z trzeciego, podobnie DELFINA AMBROZIAK (Bronia), która pełnią kunsztu wokalnego błysnęła głównie w akcie trzecim. TADEUSZ KOPACKI (Kazimierz) zdaje się być w słabszej niż zazwyczaj formie wokalnej. Mam jednak nadzieję, że ten wytrawny artysta szybko pokona chwilową, jak sądzę, słabość, byśmy mogli podziwiać go w pełnej dyspozycji głosu. Uznanie i gorący aplauz publiczności zdobył ROMAN WERLIŃSKI, bardzo precyzyjnie i z dużą swobodą operujący głosem, którego barwa i skala połączona z mistrzowską techniką a także dobre aktorstwo, każdorazowo pozwalają temu śpiewakowi na tworzenie prawdziwych kreacji. W epizodycznej, ale bardzo trudnej wokalnie partii Ewy ze znacznym powodzeniem wystąpiła KRYSTYNA RORBACH-WAŁASZEK. Ciemna barwa głosu tej śpiewaczki przydała urody koloraturowej „arii włoskiej". W polonezowej arii Chorążego podobał się TOMASZ FITAS. STANISŁAW MICHOŃSKI w roli Podczaszyca mile zaskoczył rozległością aktorskich środków wyrazu. Aktorstwo było zresztą niezaprzeczalnie mocną stroną całego przedstawienia, a spostrzeżenie to miło mi odnieść także do chóru, który nader poprawnie wywiązał się ze swego podstawowego zadania. Jeśli już o mocnych stronach spektaklu mowa, to zaliczyć do nich wypada reżyserię wielkich scen zbiorowych. Słabszy natomiast efekt osiągnął reżyser WOJCIECH BORATYŃSKI w inscenizowaniu scen małych, które miast umiejętności operowania tłumem wymagają sztuki ustawiania sytuacji między kilkoma osobami. Wiele z tych sytuacji raziło niezręcznościami i odniosłam wrażenie, że niezbyt dobrze czują się w nich soliści.

W stworzeniu z „Hrabiny" barwnego, pełnego rozmachu widowiska bardzo pomógł reżyserowi scenograf MARIAN STAŃCZAK. Swój głos oddałabym na jego korzyść plastycznej wizji aktu trzeciego. WITOLDOWI BORKOWSKIEMU zawdzięczamy efektowne układy choreograficzne wstawek baletowych w akcie drugim i cenne „roztańczenie" chóru (przygotowanego przez MIECZYSŁAWA RYMARCZYKA), które wyraźnie zdynamizowało spektakl.

W sumie otrzymaliśmy przedstawienie staranne i pełne wdzięku. Drobne usterki — mam nadzieję — dotrą się w czasie jego eksploatacji.

Łódzkiej inscenizacji „Hrabiny" wróżę powodzenie u publiczności i długi, sceniczny żywot.

EWA PANKIEWICZ

Teatr Wielki. Opera Stanisława Moniuszki „Hrabina".
Na zdjęciu od lewej: Roman Werliński (Dzidzi), Teresa May-Czyżowska (Hrabina), Delfina Ambroziak (Bronia), Tomasz Fitas (Chorąży), Tadeusz Kopacki (Kazimierz), Stanisław Michoński (Podczaszyc).

Foto: Ch. Zieliński

SZOSA AMERYKAŃSKA

W kinie amerykańskim kilkunastu ostatnich lat mocno zaznaczył się nurt nawiązujący do trwale zakorzenionych w amerykańskiej kulturze mitów — których filmowym ucieleśnieniem przez cały wiek XX (począwszy od „Napadu na ekspress" Portera) był western. Z tym jednak, że odwoływanie się do tego gatunku polega najczęściej na odwróceniu o 180 stopni charakterystycznych cech świata, którego opis zawierały filmy z lat dwudziestych i trzydziestych. Zamiast czarno-białego podziału postaci uosabiających w czytelny sposób zło i dobro, napotykamy na rzeczywistość o wiele bardziej skomplikowaną. Najczęściej tradycyjnie rozumiane „dobro" jest w niej nieobecne. Jednym z przykładów skrajnych był pokazywany u nas przed rokiem film Penna „Przełomy Missouri".

Zaprzeczanie na ekranach regułom westernu ma głęboką, ogólnospołeczną i zarazem ogólnokulturową genezę. Jest nią — odzwierciedlający się także w filmach nie nawiązujących bezpośrednio do poetyki westernu — kryzys tradycyjnych wartości, które niegdyś zadecydowały o ekonomiczno-społecznych podstawach społeczeństwa amerykańskiego. O kryzysie wartości, charakterystycznym dla kultury amerykańskiej, mamy okazję, słyszeć często, przy różnych okazjach. Nie jest jednak sprawą prostą (jakkolwiek często upraszczaną), znalezienie przyczyn takiego stanu rzeczy — potwierdzanego bezpośrednio dziesiątkami filmów, z których wystarczy wymienić tak głośne, jak „Nashville" Altmana, „Serpico" i „Taśmy prawdy" Lumeta, „Taksówkarz" Scorsese'a, „Łowca jeleni" Cimino. Temat ten — analizowany od strony właśnie filmowej — czeka na socjologiczną analizę na poziomie Kracauerowskiego spojrzenia na kryzys świata mieszczańskiego Niemiec przedhitlerowskich („Od Caligariego do Hitlera").

Oczywiście problem jest zupełnie inny, ale chodzi o metodę. Tym bardziej że kino amerykańskie do długiej listy dopisuje następne tytuły filmów. Jednym z nich jest — pokazywany obecnie w naszych kinach — utwór Sama Peckinpaha „Konwój". Twórczość tego reżysera, należy obok dorobku Penna, do najbardziej charakterystycznego zjawiska w omawianym nurcie. Takie filmy Peckinpaha, jak „Dzika banda", „Ballada o Cable'u Hogue'u", „Nędzne psy", „Ucieczka gangstera", „Pat Garret i Billy Kid", skupiają najbardziej istotne motywy: prawda prezentowana jest poprzez kino „gwałtu i przemocy" przy jednoczesnym poszukiwaniu utraconego świata jednoznacznych kryteriów dobra i zła.

Najnowszy film Peckinpaha to historia buntu kierowców potężnych ciężarówek wędrujących stadami po autostradach Stanów Zjednoczonych. Bunt ten — rozpoczynający się mało znaczącym konfliktem trzech kierowców, którym przewodzi Gumowa Kaczka (Kris Kristofferson), z policjantem zwanym Brzuchaczem — polega na przyłączaniu się do uciekających przed pogonią ciężarówek następnych pojazdów. Dziesiątki, wreszcie setki tych kolosów jadą w potężnym konwoju. To wszystko. „Celem konwoju jest być w ruchu". Bunt i protest. Przeciwko czemu? Oczywiste, że wyjściowa sytuacja jest jedynie pretekstem, który wyzwala lawinowy przyrost uczestników konwoju. Jeżeli celem jest ruch, to protest sprowadza się przede wszystkim do pokonania bezruchu — synonimu jałowej, rozsądnej i racjonalnej codzienności. Ruch pojazdów jadących w gromadzie jest — jak niegdyś szaleńcza ucieczka w „Znikającym punkcie" — właśnie irracjonalny. Ale staje się okazją do ujawnienia cech wspólnych wszystkich uczestników tej akcji — scalających ich w antytezę anonimowej, niejednolitej masy ludzi przemierzających samotnie ogromne obszary. „Te długie, puste szosy przygnębiają nasze kowbojskie dusze". Zawodowa solidarność przekształca się w groźną siłę. W gromadzie, przypominającej karawanę wozów jadących na Zachód, ożywają na nowo nieobecne od dawna wartości — wówczas, gdy w opozycji do reszty świata, na parę dni odnajdują się zagubione więzi społeczne. Machinacje polityczne, próbujące wykorzystać konwój w kampanii wyborczej gubernatora — muszą spotkać się z należytą odprawą. Ważniejsze jest uwolnienie jednego z twórców konwoju, uwięzionego przez głównego antagonistę — Brzuchacza. Samotny pojedynek Gumowej Kaczki z całym oddziałem pancernym przypomina dawno zapomniane pojedynki jednego przeciw wszystkim. Jasne jest, że musi zakończyć się zwycięstwem bohatera. Konwój może ruszyć w dalszą drogę — przed siebie.

Film Peckinpaha trzeba traktować jako metaforę. Wartości decydujące o zespoleniu różnych kultur w jedność narodziły się i ukształtowały na gruncie amerykańskim w ruchu. I to w podwójnym sensie. Po pierwsze czysto fizycznym: w potężnych przemieszczeniach grup ludności związanych z podbojem Zachodu. Po drugie w ruchu, jaki wynikał z ciągłego ścieranie się różnorodnych wzorców kulturowych przy kształtowaniu się narodowej i kulturowej jedności. Doświadczenia te rejestrowało kino począwszy od pierwszych westernów i „Narodzin narodu" Griffitha. Społeczeństwo amerykańskie ukształtowało w historycznym rozwoju specyficzny etos walki, który nadawał szczególny sens wartościom zespalającym ludzkie działania — służącym jedności, mimo uznania indywidualizmu. W pewnym momencie — gdy najważniejsze cele zostały osiągnięte — rozpoczął się kryzys. Anonimowość i brak poczucia przynależności do grupy decydują o losie „Taksówkarza" Scorsese'a. Indywidualny bunt pozostaje jedyną możliwością „Mistera Mejestyka" Fleischera. Antytezą samotności staje się wstąpienie do rodziny „Ojca chrzestnego" Coppoli. Pozostaje jeszcze inne wyjście: udział w konwoju. Mimo że — jak przekonuje historia — ruch jako cel zawiera w sobie wiele niebezpieczeństw.

Ruch — temat wynikający z analizy sytuacji społecznej — znajduje w filmie Peckinpaha wyjątkowo intensywny odpowiednik w samym obrazie filmowym. Niezwykłe tempo akcji rozpisane jest na szczególnie ważne pod względem ruchu sekwencje: bójki w barze, baletu ciężarówek uciekających przed policyjną pogonią przez wydmy, czy wreszcie „rozkładania" na części policyjnego samochodu przez dwie potężne ciężarówki, pomiędzy które został podstępnie schwytany. Mimo stawianej przez „Konwój" diagnozy, trudno oprzeć się wrażeniu, że przede wszystkim dla tych sekwencji zrealizowany został film. Poświadcza to zresztą zakończenie „odkręcające" najważniejsze momenty filmu.

„Koncepcja ściśle kinematograficzna (...) może sobie ruch wybierać za główny temat" — pisał Irzykowski w roku 1913. Po raz któryś mamy okazję przekonać się, że miał rację.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

PRZED WIELKIM SKOKIEM

Gdybym pisał o książkach, a nie o telewizji, przytoczyłbym tu pewną, anegdotyczną prawie rozmowę, której byłem jednak świadkiem w łódzkiej księgarni. Zaproponowano mianowicie jednemu z klientów (ma się rozumieć, iż był to znajomy klient), 5-tomowe wydanie Lwa Tołstoja (600 zł) i 3-tomowe, Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu" (600 zł). Klient odmówił: Obawiam się, że musiałbym zapłacić podatek od wzbogacenia „na podstawie znamion zewnętrznych", dziękuję, kupię coś mniej rzucającego się w oczy! I wyszedł z „Biednymi ludźmi" Fiodora Dostojewskiego za 25 zł.

Gdybym pisał o filmach, nie omieszkałbym podzielić się wrażeniami z rzeczywiście znakomitego filmu, który udało mi się zobaczyć. Nie podam tytułu, aby tych co filmu nie widzieli, bo w kinach jeszcze nie jest wyświetlany, nie drażnić.

Muszę napisać o telewizji. To dramatyczne załamanie rąk wynika po prostu z tego, iż tydzień, który w TVP minął, nie daje się w żaden sposób zapisać po stronie programowych sukcesów. Stał ten tydzień pod znakiem kryminalno-detektywistycznych sukcesów płci pięknej. Najpierw Sally, słodka idiotka z francuskiego serialu udowadniała, że nie jest taka głupia jakby się wydawało (ach, ta urocza minka!). Potem panna (oczywiście stara i oczywiście Angielka) Marple, zdemaskowała intrygę zawołanego czytelnika powieści kryminalnych (to w obrazie wg Agaty Christie pt. „Śmierć w tabakierce"). Wreszcie Angie Dickinson jako sierżant Andersen służyła za wabia aby ująć zwyrodniałego mordercę kobiet, który posługiwał się w swoich działaniach nie tylko brzytwą. Czym jeszcze, nietrudno sobie dopowiedzieć.

Ostatni tydzień, jak jaką gustowną klamrą, spinały obrazy o sukcesach militarnych angielskiego oręża podczas II wojny. Tu może akurat ironia jest nie na miejscu, bo choć poniedziałkowy film „Byłem Montgomerym" trąci archiwum, ale przecież opowiada o mało znanym epizodzie walki wywiadów. Mój sceptycyzm wobec pomysłów programowych TVP bierze się stąd, iż sobotnia „Bitwa o Anglię", była nie tak dawno już wyświetlana. Nie sposób zatem emocjonować się tym samym co kilkanaście miesięcy, nawet jeśli mamy okazję oglądać powietrzne szarże naszego Dywizjonu 303.

Ale, ale. A dwa klasyczne dzieła światowej sztuki filmowej? Najpierw Zaćmienie" Antonioniego a potem „Stare i nowe" Eisensteina? No właśnie. Jak na nie patrzeć, jak oceniać z perspektywy 1979 roku. Dzieło Antonioniego, kilkanaście lat temu nagradzane na festiwalach, interpretowane w najwyższym skupieniu przez krytykę, dziś wydaje się nieco puste. Owszem jego ideowe otwarcie i dzisiaj każe doszukiwać się egzystencjalnych treści, zwłaszcza, iż myślowe napięcia filmu konstruowane są przez obraz, a nie przez słowo. Jednak dzisiejsze kino przyzwyczaiło nas do stawiania problemów bezpośrednio, bardziej wprost. Trudno przejąć się egzystencjalnym bólem odgrywanym przez Monikę Vitti, która spaceruje po ekranie, szukając nie wiedzieć czego. Napadł Jacek Fuksiewicz i paru jeszcze krytyków na Lelouch'a podczas jego ostatniej wizyty w Polsce, określając jego filmy jako kicze. Powiedziałbym, iż Lelouch jest swoistego rodzaju kontynuatorem Antonioniego (autora „Przygody", „Nocy" i „Zaćmienia"), że podejmuje tę samą problematykę, posługując się przy tym warsztatem filmowym o wiele bogatszym niż wielki Michelangelo. A i jego bohaterowie są bogatsi o konkretne, życiowe realia, które być może z naszej perspektywy, mogą wydawać się nazbyt konsumpcyjne, nazbyt barwne. Lelouch i jego filmy bez reszty funkcjonują w kontekstach kultury francuskiej taka jaka ona była i jest. Kultury, która stworzyła Constanta i Stendhala, Sagan i Butora („Przemiana"), Marceau (autora „Creezy", laureata Goncourtów z 1969 r.) i d'Ormessona („Przegrana miłość"). I w tym kontekście trzeba dokonania Lelouch'a wartościować.

„Stare i nowe" Eisensteina to wciąż jeszcze dzieło zagadkowe. Niby film o perswazyjno-propagandowym przeznaczeniu. Niby w tonacji patetyczno-ideologicznej. Ale jednocześnie zaskakujący rozwiązaniami inscenizacyjnymi na granicy groteski i metaforyzacyjnego udziwnienia. Mam na myśli tu cały wątek Fomki — rozpłodowego byka. Sekwencja jego „zaślubin" jest obrazem jakby jakiegoś pogańskiego obyczaju, która nadbudowuje się poza samym filmem, o konkretnych — jak powiedziałem — intencjach. W sumie można powiedzieć, iż w tym filmie Eisensteina — awangardowy eksperymentator pokonał bezwiednie Eisensteina — politycznego publicystę. Było to zwycięstwo Pyrrusowe. I jest w tym jakieś pouczające doświadczenie dla współczesnych twórców.

Tyle o filmach, tych błahych i o tych, o których warto pomówić. Wciąż kino jest pancernikiem ochraniającym telewizję przed atakami znużonej widowni. Pewnie nie tylko dla naszej TVP. Aby jakoś motywować nikłość programu przedstawionego w ciągu ostatniego tygodnia, wyobrażam sobie, że oto telewizja spręża się do skoku: w święta zamiast przy stole, będziemy siedzieć przed telewizorami.

GRZEGORZ GAZDA

MAŁY RENESANS

Tomik poezji Rafała Orlewskiego *Idąc* otwiera motto — fragment słynnego *Pielgrzyma* Norwida:

Przecież i ja — ziemi tyle mam,
Ile jej stopa ma pokrywa,
Dopokąd idę!...

Słowa Norwida wyjątkowo trafnie oddają treść i klimat wierszy Orlewskiego. *Idąc*, podmiot-bohater tych wierszy zbiera doświadczenia, rozmawia ze spotykanymi po drodze ludźmi, zatrzymuje się wyczuwając możliwość miłości... i opisuje to wszystko prostym, oszczędnym językiem. Wyznaczył sobie skromne, lecz uczciwe miejsce:

Nie chciałbym rakietą
nieba pruć jak wiosłem —
widziałem, jak ludziom
rozpruwano brzuchy.

Ten prawie Różewiczowski minimalizm okazuje się jednak trochę mniej minimalistyczny, skoro w tym samym wierszu czytamy:

Chciałbym tylko umieć
słowom moim sprostać.

Jedynym uzasadnieniem tej postawy jest ogólna tendencja do *bycia człowiekiem*, zarówno w sensie definicyjnym (przynależności do gatunku homo sapiens, czyli istot myślących), jak i w potocznym sensie moralnym. Mamy tu przykład poezji typowo *ludzkiej*. Owo zafascynowanie człowiekiem jest u Orlewskiego prawie renesansowe, w nieco szkolnym rozumieniu tego słowa. W tej poezji nie istnieje bowiem żadna transcendencja, wszystko rozgrywa się między ludźmi, człowiek dla człowieka jest jedynym punktem odniesienia:

Człowiek, człowiekowi,
człowieka człowiekiem —
a ludzie nad ludźmi lubią
śpiewać requiem (...)
człowiek nie dogoni, gdy
człowiek ucieka.

Świadomość ograniczeń i pełne wykorzystanie ludzkich możliwości zdają się stanowić jedyny postulat i przesłanie tej poezji.

Jeśli się chylić, to po garstkę
ziemi,
żeby mieć prawo stąpać
śmiało po niej.

Jeśli pięść wznosić, to
rozbijać krzemień,
aż ręka ogniem strzelistym
zapłonie.
Jeżeli płakać, to łzą
niewidoczną,
by śmiech siarczyście mógł
tańczyć mazura.
Jeżeli kochać, to drapieżnie,
mocno,
by odgłos serca był jak echo
w górach.

Postawa piękna jako postulat, ale na tle innych wierszy daje efekty osobliwe i nieoczekiwane. Liryka Orlewskiego wypływa bowiem z doświadczeń zdobytych *tu i teraz* w bardzo dosłownym znaczeniu; autor nie wykracza poza krąg doświadczenia bezpośredniego nawet w sensie czysto geograficznym. Może to trochę komiczne skojarzenie, ale wydaje się, że ten krąg jest wyznaczony przez... fizyczną możliwość poruszania się piechotą. Po Norwidzie mimo woli przypominają się słowa innego poety: *Udaje mi się wyruszać tylko w krótkie podróże.* Orlewski opisuje małe, niezbyt oddalone od siebie miasteczka, stwarza wrażenie jakiejś rzeczywistej pielgrzymki, ale dla wszystkich, którzy choć trochę znają tego typu miejscowości, takie apostrofy jak np. ta:

Pokłon ci niosę (...)
Bądź pozdrowiony, Grodzie
Trybunalski,
miasto sprawdzenia i serca

— muszą brzmieć trochę zabawnie i świadczą o tym, że bez swojej prywatnej mitologii nikt obejść się nie może.

Końcowym etapem renesansu był, jak wiadomo, manieryzm. Ostateczną konsekwencją *małego renesansu* Orlewskiego staje się (a szkoda!) pewna śmieszność. Jak z tego wybrnie autor — pokażą następne tomiki.

KRYSTYNA KWIATKOWSKA

Rafał Orlewski, Idąc. Łódź 1979, Wydawnictwo Łódzkie, 66 str., cena 10 zł, „Biblioteka Poetycka".

ROMANTYCY

Konstanty Paustowski, znany i wysoko ceniony pisarz rosyjski (ur. w Moskwie w 1892 r. zm. w 1968) jest nam szczególnie bliski. Wielokrotnie tłumaczone na język polski powieści tego autora cieszyły się niezmiennym powodzeniem. Niniejsza książka będzie tego jeszcze jednym przykładem, szczególnie, że dotyczy młodzieńczych lat Paustowskiego przed pierwszą wojną światową i na początku wojny, kiedy to pisarz znalazł się na terenie Polski, na szlakach natarć i odwrotów rosyjskiej armii. Stąd wiele polskich nazwisk, postaci i miejsc związanych z naszą historią przewija się przez te opowiadania.

„Romantycy" to impresje z romantycznej młodości autora-narratora, młodzieńcze przyjaźnie z poetami, malarzami, młodzieńcze miłości.

Z opowiadań Paustowskiego emanuje zachłystywanie się życiem, radość z muśnięcia słońca i wiatru, ze smaku mocnej kawy pitej nad ranem w portowej knajpie z widoku dziewczyny idącej brzegiem morza z rozwianymi włosami. We wszystkim co widzi i opisuje znajduje Paustowski cudowany zapach i smak, nieustanny żar.

Cała proza Paustowskiego odznacza się subtelnym liryzmem i nastrojowością. Cechuje ją także głębokie umiłowanie przyrody, romantyczne spojrzenie na sprawy codziennego życia oraz wiara w twórcze siły człowieka.

Konstanty Paustowski „Romantycy" przekł. Jerzy Jędrzejewicz, Książka i Wiedza, W-wa, 1979, str. 273, cena zł 14.—

TANIEC MARIHUANY

Gdzieś na południu, w cudownym klimacie, gdzie zawsze jest niezbyt upalne lato, istnieje wymyślona przez Andrzeja Przypkowskiego Wyspa. Wyspa położona na przecięciu ważnych szlaków komunikacyjnych świetnie rozwija swoją gospodarkę. Ma ogromny nowoczesny port zakłady przemysłowe, żyzną ziemię i rolnictwo na wysokim poziomie autostrady, uczelnie, szpitale, biblioteki, teatry i kina. Wyspa posiada najlepszy na świecie ustrój, pełną demokrację: urzędy gdzie załatwiane są wszelkie sprawy w sposób zgodny z przepisami bez względu na osobę petenta, sprawiedliwy sąd, nie ma antagonizmów rasowych i społecznych. Absolutny raj.

Tak o swoim rodzinnym kraju myśli młody prawnik, który przygotowuje się do zawodu polityka. Wychowany starannie w domu, kształcony w najlepszych szkołach w kraju i za granicą, w sumie niewiele wie o ojczyźnie.

Przyjeżdża na Wyspę po dwuletniej nieobecności, kandyduje i zostaje wybrany posłem. Zaczyna działać. Spotyka się ze swoimi wyborcami, zwyczajnymi mieszkańcami Wyspy. Odsłaniają się przed nim nieznane mu dotychczas mechanizmy władzy.

Cała właściwie powieść Andrzeja Przypkowskiego jest jednym studium władzy. Odsłania mechanizmy pozwalające do niej dojść i sposoby jej utrzymania. Pokazuje w jaki sposób powstają dyktatury, kto je popiera i z nich korzysta. Pokazuje w jaki sposób można z człowieka prawego, godnego zaufania i sprawiedliwego zrobić donosiciela i wspólnika zbrodni. Wskazuje na niebezpieczeństwo jakim jest wykorzystanie przez szaleńców i zbrodniarzy dla swych celów zdobyczy nauki.

Książka frapująca, podana w formie niemal sensacyjnej i pomimo, że opowiada o nie istniejącym kraju, nie istniejącym ustroju i niebyłych wydarzeniach to jednak wiele w niej gorzkiej prawdy o skomplikowanych drogach naszego współczesnego świata.

Andrzej Przypkowski „Taniec marihuany", Wyd. MON, W-wa 1979, str. 366, cena zł 30.—

WIOSNĄ OWEGO ROKU

Susan Hill jest krytykiem literackim. Pisuje do wielu czasopism angielskich. Jest także autorką kilkunastu powieści. W roku 1971 otrzymała nagrodę literacką im. Williama Somerseta Maughama. W Polsce znana jest z powieści pt. „Ptak nocy".

W powieści „Wiosną owego roku", która jest w dużej mierze autobiograficzna, autorka pokazuje tragedię młodej kobiety i jej stopniowy powrót do życia.

Ruth Bryce młodziutka 20-letnia mężatka traci męża. Zostaje zupełnie sama. Nie ma nikogo bliskiego; ojciec powtórnie ożeniony mieszka w innym mieście. Rodzina męża nigdy jej nie lubiła. We wsi jest „nowa" i z nikim nigdy nie utrzymywała kontaktów, całym światem był mąż. On był jedyną jej osłoną przed złem, uczył ją życia i wprowadzał w świat dorosłych. Po jego śmierci Ruth zasklepia się we własnym cierpieniu, odtrąca ludzką życzliwość i pomocną dłoń. Długo nie może się uspokoić i znaleźć swego miejsca w tym odmienionym tak brutalnie świecie. Ale życie toczy się nadal i nie pozostawia nigdy człowieka bez żadnej szansy. Nieoczekiwane wydarzenia zmuszają Ruth do przyjścia z pomocą innym i stawienia czoła przeciwnościom. I tak Ruth, której wydawało się, że nie potrafi dopomóc sobie, staje się niezbędna dla innych. Zaczyna znowu czuć, cieszyć się, martwić. Zaczyna po prostu żyć.

Susan Hill „Wiosną owego roku", przekł. Ryszarda Grzybowska, Czytelnik, W-wa 1979, str. 226, cena zł 29.—

ZAMIAST FELIETONU

Rys. Andrzej Tylczyński

SPORT

60 LAT

W czerwcu 1894 roku zebrał się w Paryżu kongres, na którym postanowiono powołać do życia Międzynarodowy Komitet Olimpijski oraz wznowić igrzyska olimpijskie ery nowożytnej. Oczywiście Polska brać w tym udziału nie mogła, gdyż nie było państwa polskiego. Ale o Polsce wówczas nie zapomniano. Wychodzono bowiem z założenia, że „naród jako taki niekoniecznie musi być utożsamiany z niepodległym państwem" Dlatego też wysyłając zaproszenia w 1910 roku, Międzynarodowy Komitet Olimpijski wśród wielu państw i narodów wymienił także Polskę.

Sprawa Polski była jednak bardziej skomplikowana niż z innymi narodami, które nie posiadały własnych państw, ale mogły być reprezentowane we władzach olimpijskich i brać udział w igrzyskach. Polska była podzielona między trzech zaborców, stąd też Polacy brali udział w igrzyskach, ale w barwach państw zaborczych. Komitet Olimpijski wszakże pamiętał o narodzie polskim, dając tym do zrozumienia, że opowiada się za naszą samodzielnością.

I tak w barwach Austrii startował w biegu na 400 metrów zawodnik lwowskiej Pogoni — Władysław Ponursk. W barwach carskiej Rosji startowali: piłkarze Borejsza i Rymsza, strzelec Keszke, lekkoatleta Gajewski, jeźdźcy Karol Rómmel i Sergiusz Zachorski.

Po pierwszej wojnie światowej sytuacja zmieniła się radykalnie. Mieliśmy już niepodległe państwo. Nic nie stało na przeszkodzie, aby nasi zawodnicy mogli startować w igrzyskach olimpijskich. Mógł też powstać POLSKI KOMITET OLIMPIJSKI Stało się to 12 października 1919 roku. Początkowo był to Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich Międzynarodowy Komitet Olimpijski uznał go na pół roku przed igrzyskami w Antwerpii, ale polski sport dopiero odradzał się, a poza tym Polska była uwikłana w wojnę i znów polscy sportowcy nie wystartowali w barwach narodowych na VII Olimpiadzie ery nowożytnej.

Nie mieliśmy jeszcze sukcesów, ale mieliśmy już pomysły. W 1922 roku odbywała się w Paryżu 20 sesja Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Wyłonił się wtedy pomysł rozgrywania igrzysk regionalnych MKOl zgodził się na patronat nad Igrzyskami Ameryki Łacińskiej i nad Igrzyskami Dalekiego Wschodu, bo to się przyczyniało do rozwoju sportu w tych częściach świata. I wtedy nagle wyskoczyli z niecodzienną propozycją Polacy.

Przedstawiciel Polskiego Komitetu Olimpijskiego — prof. Wittig zaproponował, aby zorganizować „Igrzyska Europy Środkowej", a Warszawę, jako ośrodek organizacyjny tej imprezy Propozycja ta spotkała się z przykrą dla nas odprawą. Baron Pierre de Coubertin — przewodniczący MKOl — zwrócił uwagę, że „lepiej będzie dla Polski by pieniądze, które musiałaby wyłożyć na takie igrzyska rejonowe, przeznaczyć na intensywne przygotowanie się do igrzysk właściwych, a w miejsce igrzysk rejonowych urządzać międzynarodowe spotkania w poszczególnych sportach."

Po raz pierwszy polska ekipa olimpijska wystąpiła na VIII Olimpiadzie w Paryżu w 1924 roku. Ekipa polska liczyła wówczas 113 osób Ale — już u samego początku — zarysowały się dość charakterystyczne proporcje w składzie naszej ekipy. Mianowicie na 90 zawodników pojechało tylko 2 trenerów, ale za to 21 działaczy. Zresztą zaoziwiliśmy Paryż jeszcze czymś innym. Oto jak moment ten wspominał później Zygmunt Weiss, dziennikarz „Przeglądu Sportowego":

„Szydłowski niósł sztandar biało-czerwony i Cejzik transparent z napisem „Pologne". Przywitanie — choć do litery P już ludziom ręce spuchły od oklasków — było gorętsze od innych. Trochę się zdziwiono, że kroczący za sztandarem reprezentanci komitetu olimpijskiego... zapomnieli ukłonić się prezydentowi. Tylko Szydłowski schylił sztandar przed lożą. Wyglądali wspaniale..."

Ale też i jak na początek źle nie wypadliśmy. Zdobyto 2 medale: srebrny i brązowy, startowali nasi zawodnicy w 12 dyscyplinach i w rezultacie zdobyli 22 miejsce. Start może nie najwspanialszy, ale jak na tamte czasy, na początek polskiego sportu nie było najgorzej.

I tak właśnie zaczęło się owe 60 lat, które minęły w październiku 1979 roku, a które obchodzono kilkanaście dni temu. 60 lat istnienia i pracy Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

BOGDA MADEJ

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ZŁA PASSA, CZY „ZŁA PRASA"...

Za mojej pamięci, czyli w ciągu ostatnich 35 lat, Łódź miała parę dobrych okresów i parę złych sezonów kulturalnych. Nie jest to żadne szczególne odkrycie — więcej powiem, jest to zjawisko chyba tak naturalne, jak przypływy i odpływy. Przyciąganie księżyca powoduje ruch wody w oceanach, przyciąganie stolicy powoduje ruch (albo bezruch) w różnych sferach życia publicznego: kulturalnego, artystycznego...

Młodszym Czytelnikom godzi się przypomnieć, że Łódź miała swój „złoty okres" w kulturze nazajutrz po wyzwoleniu. Otrzymała wówczas powszechnie zaakceptowane miano „Dymiących Aten" — i rzeczywiście na takie określenie zasługiwała

Pierwsze pięciolecie po wyzwoleniu, to żywiołowy rozwój wszelkich dziedzin oświaty, nauki i kultury. Miasto zawdzięczało to dwóm faktom. Po pierwsze — jak pisze Aleksander Kamiński — Łódź, na skutek zniszczenia Warszawy, stała się głównym skupiskiem inteligencji pracującej w różnorodnych dziedzinach nauki, sztuki, publicystyki oraz siedzibą centralnych instytucji. Po drugie zaś rozwój ten nastąpił dzięki żywej, prężnej i śmiałej inicjatywie społecznej — jak gdyby usiłującej nadrobić stracony podczas okupacji czas oraz wiekowe zaniedbania kapitalizmu.

To w tym pierwszym pięcioleciu założono w Łodzi dziewięć wyższych uczelni. Było ich więc tutaj tyle, co w Krakowie, tylko jedna Warszawa miała więcej. Uruchomiono liczne wydawnictwa, obliczone nie na potrzeby miasta, lecz kraju. Najtęższi polscy publicyści, ludzie nauki, teatru, filmu, plastyki tu właśnie, w Łodzi, mieli swoje warsztaty pracy. Wskaźniki frekwencji w łódzkich teatrach i salach koncertowych należały wówczas do najwyższych w Polsce, a liczba teatrów zawodowych w roku 1946 była większa niż w którymkolwiek z miast Polski — oprócz Warszawy.

To była dobra p a s s a.

Pięciolecie drugie przyniosło spadek gorączki rozwojowej. Czas ten charakteryzuje się zahamowaniem rozwoju w jednych dziedzinach, a cofnięciem w innych. Zaczyna działać „przyciąganie" Warszawy. Uciekają z Łodzi pisma, wydawnictwa, teatry i, oczywiście, ludzie. Naukowe placówki Łodzi tracą wiele katedr i instytutów.

To była zła p a s s a.

Trzecie pięciolecie charakteryzuje się ambitnymi próbami odrobienia zaległości, naprawienia błędów. Był to okres — mimo wszystko — dobrej passy, chociaż Łódź znajdowała się wówczas na piątym miejscu w kraju pod względem wyższych uczelni, na czwartym pod względem muzeów... Ale występowało ciągłe równanie w górę i to zjawisko określało ówczesną dobrą passę Łodzi kulturalnej.

Tak z grubsza wygląda historia. Po tym wstępie mogę już spokojnie przejść do współczesności i do próby odpowiedzi na postawione w tytule tego felietonu pytanie: „Zła passa czy zła prasa".

Ostatnio bowiem Łódź ma zdecydowanie złą prasę. „Polityka" apodyktycznie i niezbyt sprawiedliwie potraktowała łódzką firmę wydawniczą.. Potem ten sam tygodnik postawił pod pręgierzem Teatr Wielki. Były to jednak publikacje „do dyskusji" — można było się spierać, argumentować... Ale w ślad za poważnymi, aczkolwiek krytycznymi, publikacjami poszły „prztyczki w nos", jak choćby notka w „Przekroju", w której wyciągnięto z publikacji „Polityki" wnioski, jakich artykuł ten wcale nie sugerował. „Łodzi już nic nie pomoże" — obwieścił Polsce krakowski magazyn. „Bermudzki trójkąt kultury" — rozpaczało „Życie Literackie".

Czy rzeczywiście kultura w Łodzi przeżywa obecnie tak złą passę? Oczywiście, nie jest najlepiej w dokonaniach artystycznych, w inwestycjach kulturalnych — to wiemy wszyscy. Ale czy jest tak źle?

Uważam, że obecnie raczej mamy do czynienia ze złą p r a s ą, niż złą passą. A w każdym razie zdecydowanie gorzej to wszystko wygląda na stołecznych łamach i na krakowskim rynku, niż w łódzkiej rzeczywistości.

Ostatnio na łamach „Kultury" zabrał głos na temat Łodzi bliżej nieznany Bogusław Sztajnert. Oczywiście żartuję, wiem przecież, że chodzi o znanego pisarza, Bernarda Sztajnerta, który, albo zmienił imię albo imię zmieniła mu „Kultura". To zresztą też jest charakterystyczne „Kto z Łodzi pochodzi, sam sobie szkodzi" — i nie pomoże szereg wybitnych książek, warszawska redakcja z nonszalancką niedbałością przydzieli pisarzowi imię z innej metryki.

Ale i sam Sztajnert też jakby uległ stylowi owej „złej prasy". Obok wielu sformułowań i konstatacji słusznych i wnikliwych, pisze na przykład, że „zainteresowanie dla znakomitych wystaw Muzeum Sztuki, świetnych koncertów w Filharmonii czy nawet takich sensacji jak „Operetka" Gombrowicza, wystawiona w teatrze Dejmka — jest znikome".

Dziennikarski nawyk kazał mi sprawdzić choćby tę ostatnią informację Sztajnerta. Otóż „Operetka" utrzymywała się na scenie przez pięć sezonów, osiągnęła ponad 150 przedstawień przy niezmiennie wysokiej frekwencji przeciętnej 570 widzów na spektaklu.

A więc, w tym choćby przypadku, jest to raczej „zła prasa", niż zła passa. Określenie „znikome zainteresowanie" pasuje do „Operetki" jak pięść do nosa.

Reasumując: wiele jest w kulturze Łodzi spraw do nadrobienia, odrobienia, wiele jest braków i niedociągnięć. To prawda. Ale publicystyczne tony, pojawiające się co jakiś czas na łamach centralnych tygodników świadczą nie tyle o złej passie Łodzi kulturalnej, co o złej prasie. I taka może być właściwa odpowiedź na postawione w tytule pytanie.

WIDOK

PROPOZYCJE

CO WYNIKA Z LEKTURY OGŁOSZEŃ?

Samo pojęcie ogłoszenia wymienione w tytule jest trochę nieprecyzyjne, bo mam na myśli również niektóre informacje, które trzeba traktować jak ogłoszenia. Na przykład, że wysłano już do Łodzi owoce cytrusowe. W zasadzie „Społem" powinno zapłacić gazetom za umieszczenie tej wiadomości, ale „Społem" nie ma w tym interesu, bowiem owoce cytrusowe są u nas atrakcja sezonową i klient kupi je, jak tylko pokaża się w sklepie. Jeszcze w kolejce będzie stał. „Społem" nie ma z tym kłopotu i nie musi zamieszczać ogłoszenia. Reklamuje się raczej te towary na które nie ma chętnych.

Z drugiej strony obowiązkiem dziennikarza jest poinformować swoich czytelników o zbliżaniu się do Łodzi transportu owoców cytrusowych, bo czytelników to interesuje i wyrabia to u nich dobre samopoczucie. Podobnie wygląda sprawa ze świeżymi jajami. Jesienią i zimą skup jajek jest mniejszy, a poza tym na bazarze jajka są droższe więc do sklepów idą przede wszystkim jajka chłodnicze. A tu zbliżają się święta. Trzeba piec ciasto, torty i tak dalej, potrzebne więc są świeże jaja. Gazety doniosły, że od 1 grudnia 1979 roku w sklepach będą tylko świeże jaja. W gruncie rzeczy jest to sprawa Łódzkich Zakładów Drobiarskich i one powinny zapłacić za ukazanie się takiej informacji ale w ŁZD wiedzą, że klient czeka na świeże jajka, że nie lubi jaj chłodniczych i dziennikarz chętnie przekaże czytelnikom radosną wieść, że nie będzie jaj chłodniczych, a tylko świeże.

Bogiem a prawdą dziennikarz robić tego nie powinien, bo redakcje zastrzegają się, że za treść ogłoszeń nie odpowiadają, a dziennikarz ogłaszając, że ŁZD będą dostarczały do sklepów świeże jaja, bierze za to odpowiedzialność, choć nie ma gwarancji, że ŁZD świeże jaja dostarczą. No i klops gotowy. Bo Łódzkie Zakłady Drobiarskie albo dostarczyły ich za mało albo w ogóle nie dostarczyły do niektórych sklepów i do kogo ludzie mają pretensje, kogo obwiniają o fałszywe ich informowanie? Redakcje, które jaj nie dostarczają, nie zajmują się ani ich kupnem, ani sprzedażą. Informują tylko o tym, o czym się same dowiedzą.

Klient ma jednak pretensje do gazety. Przychodzi do sklepu i pyta: — Są świeże jaja?

— Nie ma — mówi ekspedientka — są chłodnicze.

— A w gazecie pisali, że będą — mówi na to klient.

— To proszę iść po świeże jaja do gazety, u nas nie ma.

Później „Express Ilustrowany" tłumaczy czytelnikom, że „Nie wolno wprowadzać klientów w błąd", że to kierownicy sklepów są winni, bo chcą wysprzedać jaja chłodnicze, a Łódzkie Zakłady Drobiarskie są w porządku. Ale tłumaczą się nie Łódzkie Zakłady Drobiarskie, ale gazeta. Czytelnika to w końcu mimo wszystko nie przekonuje, bo niech się tłumaczy ten, kto zawinił. Klienta to nie zadowala, bo jego mało obchodzi, ile jaj, którego dnia wysłano, on chce mieć świeże jaja, skoro mu je obiecano. I z jajka robi się problem.

Mam poważne wątpliwości, czy gazety powinny wyręczać instytucje w ogłaszaniu o ich zamierzonej działalności. Chodzi mi tu głównie o przedsiębiorstwa handlowe. Informujemy bowiem o wszystkim bez większego wyboru i zastanowienia. A więc, że jedzie pociąg z papierem toaletowym, z owocami cytrusowymi, z „pepsi-colą". Donosimy, że w sklepach WPHW zgromadzono dużę ilości zabawek dla dzieci w związku ze zbliżającymi się świętami, że WPHW robi kiermasz gwiazdkowy i tak dalej. Pewnie, że czytelników trzeba informować o tym, co się będzie przed świętami działo w mieście. Ale może byłoby wskazane, aby w pewnych informacjach, jeśli już same przedsiębiorstwa nie chcą się ogłaszać dodawać, że informacje te podaje się na odpowiedzialność takiego to a takiego pana, który powiedział to dziennikarzowi, żeby potem nie tylko do gazety ludzie mieli pretensje, ale czasem zadzwonili do tego lub innego dyrektora i powiedzieli mu wprost: — naopowiadał pan dziennikarzowi, nachwalił się i co z tego wyszło?

Nieprawdą jest, że ludzie nie lubią czytać ogłoszeń, że jak się ukaże ogłoszenie, to ujdzie ono uwadze czytelników. Lektura ogłoszeń stanowi bogate źródło wiedzy o życiu. Czegoż to się nie można z ogłoszeń dowiedzieć? Można dowiedzieć się, jakie ludzie mają zmartwienia. Jeśli na przykład szukają pomocy domowej, inni pracy chałupniczej, ale tych jest mało. Na ogół praca szuka ludzi, a nie ludzie pracy. Tak jest w małych i dużych ogłoszeniach. Z ogłoszeń można się dowiedzieć, jak rozwija się motoryzacja oraz co ludzie mają na sprzedaż i co chcą kupić.

Wybór tu jest ogromny, ale na ogół monotonny: futra, błamy, kożuchy, aparaty fotograficzne, biżuteria. Rzadko zdarzy się ogłoszenie atrakcyjne dla czytelnika pilnie śledzącego wymianę handlową dokonywaną za pośrednictwem drobnych ogłoszeń. Nie co dzień spotyka się chętnego do sprzedania magla elektrycznego. Futra i biżuterię oraz auta sprzedaje się codziennie.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

PIERNIK CZY WIATRAK?

Podobno — jak przeczytaliśmy w „Dzienniku Popularnym" — nieznana bliżej grupa socjologów zadała dzieciom uczone pytanie: Kogo wolisz — ojca, czy telewizję?

Na szerokim świecie poddaje się ankietowaniu wszystko i wyciąga potem sensacyjne wnioski. W ogromnej większości są to pożyteczne opracowania i służą bardzo konkretnym poczynaniom. Jakoś tylko rzadko zadaje się pytania dzieciom, a zwłaszcza pytania niezbyt zgodne z logiką. Jakże można pytać: czy wolisz telewizję, czy ojca? Jakie u diaska wspólne cechy mają te dwa pojęcia, żeby je porównywać i szeregować? Czy chodzi o ojca jako rekwizyt pomocny do spędzania czasu, do rozrywki? Jeśli tak, to oczywiście telewizja lepsza, daje się wyłączyć, nastawić na tysiąc decybeli i wyciszyć, niczego nie chce, nie wymaga, nie ma żadnej władzy. To już logiczniej, acz z szatańską przewrotnością działają sami rodzice i różne kochające cioty, pytając smarkacza, czy bardziej kocha tatę, czy mamę. Smarkacz na ogół nie jest głupi i zawsze na pierwszym miejscu postawi tego, kto go właśnie wypytuje. Potem śmieje się w kułak, lizając jeszcze jedną czekoladkę z Peweksu...

Czy pan woli spodnie w kratkę, czy dziewiątą symfonię? Czy pani bardziej lubi kanarka, czy zupę szczawiową?

Czy wolisz tatę, czy telewizję? Co lepsze: wiatrak, czy piernik?

Niedawno skończył się jeden z najdłuższych jak dotąd seriali telewizyjnych — „Korzenie" Miliony ludzi wzruszało się losem nieszczęsnych czarnych niewolników i wraz z nimi widziało jedyną szansę poprawy ich losu w zwycięstwie stanów północnych nad południowymi. Teraz w Warszawie znów przy przepełnionych widowniach idzie film „Przeminęło z wiatrem" i setki tysięcy ludzi wzrusza się upadkiem dobrych, patriarchalnych obyczajów, panujących w niewolniczych stanach Południa, zagrożonych brutalną agresją stanów północnych. Ci sami ludzie płakali przedtem i teraz, z czego wniosek, że najtrudniej docierają do odbiorcy treści merytoryczne, zasadnicze, najłatwiej zaś — ich możliwie najatrakcyjniej przyprawiona forma zewnętrzna, sposób ich podania.

Trzeba przyznać, że obydwa wspomniane filmy były przyprawione należycie. Jakże beznamiętnie brzmi wobec nich taka na przykład „korrespondencya z Paryża", zamieszczona w „Wiadomościach Warszawskich" z 8 kwietnia 1767 roku: „Ustanowiono tu Towarzystwo Kupieckie na handel niewolników, na handel amerykański i na połów ryb. Towarzystwo to zostaje pod obroną Ministra Sekretarza Żeglugi i rozporządzenie swoje wpisało u Sądu Admiralicji. Dozór nad tym handlem będzie poruczony przedniejszym Kupcom, którzy jeden milion łożyć nań mogą..."

Towarzystwo do połowu ryb i handlu niewolników — to są właśnie realia tamtego czasu. Towarzystwo w P a r y ż u, zarejestrowane w S ą d z i e A d m i r a l i c j i; należeć do niego mogą tylko najszacowniejsi kupcy, dający należytą rękojmię kapitałową. Opiekuje się nim wytworny dygnitarz Króla Jegomości, Minister Żeglugi. Ten sam numer „Wiadomości Warszawskich" donosi jednocześnie z kraju: „Ponieważ handel między chłopami uszczerbek czyni Obywatelom Miast a oraz role przezeń odłogiem leżeć muszą, Xiążę Administrator z tey uwagi kazał ogłosić zakaz, przez który zakazuje się wszelkie handlarstwo między wieśniakami."

Co wolicie: „Korzenie", czy „Przeminęło z wiatrem"? Tatusia, czy pana z plikiem ankiet pod pachą?

ĆWIEK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 sekretariat i red naczelny 680 99 677-70 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. 2831. A-2.

Załącznik nr. 55/.../79

HASŁO NUMERU: Jesteś samotny? Nie narzekaj. Posłuchaj co się dzieje u sąsiadów.

GWIZDEK

Córka przybiegła ze zbiórki harcerskiej i wydała polecenie: — Tato, kup mi harcerską spódnicę, pas granatowy beret, cyferki na pagony plakietkę „Łódź" i gwizdek.

Natychmiast przystąpiłem do realizacji postawionego mi zadania. Po dwu dniach zdobyłem plakietkę „Łódź" i gwizdek.

Ten gwizdek zamierzam ofiarować drużynie jako symbol stosunku producentów i handlowców do harcerzy. Gwiżdże bardzo donośnie.

TATA

SKĄD O TYM WIEDZĄ?

„Mały Głos" doniósł, że w Państwowym Młodzieżowym Zakładzie Wychowawczym przy ul. Drewnowskiej w Łodzi odbył się finał konkursu „Walka z nałogami, to walka o zdrowie". W konkursie zwyciężyli chłopcy przed dziewczętami.

„W sumie — pisze autor notatki w „MG" — młodzież wykazała dużą znajomość zgubnych dla zdrowia skutków palenia papierosów i picia alkoholu".

Z doświadczenia?

N.N.

NOWOŚĆ

„Lizaki słodkie dla młodzieży" wyprodukowała — jak głosi metka — Wytwórnia Cukierniczą M. Ciecierzyńskiego (Warszawa, ul. Lokalna 90).

Czyżbyśmy mieli w najbliższym czasie spodziewać się kolejnej nowości: lizaków dla dorosłych?

A może takowe już są gdzieś w sprzedaży, tylko że my o nich nie wiemy — zgodnie z prawem, że prasa dowiaduje się ostatnia...?

(t.s.)

ZDZIWIENIE

„Tygodnik Piotrkowski" referując przebieg ważnych obrad w województwie stwierdza:

„...rozpoczęła się dyskusja. Jako pierwszy głos zabrał iks.".

Dyskutanci widać zastrzegli sobie anonimowość.

Lektor

GDZIE KONIE KUJĄ...

W nr 45 „Tygodnika Kulturalnego" ukazał się artykuł Tadeusza Kucharskiego o mieszkającym w Łodzi od blisko dwudziestu lat radzieckim poecie Wasylu Kocznowie. Do publikacji tej zakradło się kilka, nie istotnych zresztą błędów. Wydawało się, że do ich sprostowania upoważniony jest przede wszystim bohater reportażu Tymczasem w nr 49 „TK" zabrał głos Roman Gorzelski, dodając nową porcję świadomych już dezinformacji i deklarując się jako człowiek, który promował Kocznowa na poetę. O tej „promocji" mówią coś akta sądu koleżeńskiego oddziału łódzkiego ZLP w sprawie wniesionej przez Kocznowa przeciw Gorzelskiemu, zakończonej uznaniem pretensji Rosjanina. Zapomniawszy widocznie o tym, Roman Gorzelski przedstawia się na łamach „TK" jako przyjaciel Kocznowa i usprawiedliwia swój list troską o dobre imię „przyjaciela". Jest takie polskie przysłowie: „Gdzie konie kują żaba nogę podstawia", które pasuje tu jak ulał. Chciałoby się dodać inne porzekadło: uchowaj nas, Boże, od przyjaciół...

J.D.

Nasz przyjaciel Kazio wyszedł w piątek do biura a wrócił w poniedziałek wczesnym wieczorem.

— Kaziu! Bój się Pana Boga! — powitała go żona. — Gdzieś ty się podziewał. Co myśmy przeżyli. Gdzieśmy ciebie nie szukali. Po szpitalach, w izbie wytrzeźwień, w areszcie. A gdzie ty byłeś?

— Nie wiem — powiedział Kazio ochrypniętym głosem.

— Jak to, nie wiesz — zdziwiła się Kaziowa żona.

— Porwali mnie.

— Ciebie?

— Mnie. A co w tym dziwnego. Mnie już nie można porwać?

— Kto ciebie porwał? Kidnaperzy? Terroryści? U nas nie ma terrorystów. Kręcisz. Porwali i okupu nie zażądali? I tak sobie bez niczego wypuścili?

— Wypuścili.

— Ale kto?

— No, ci, wiesz, ufici. Nie czytałaś w gazetach? We Francji też jednego porwali.

PORWANIE

— We Francji, to co innego. Ty się Kaziu przyznaj, gdzie się łajdaczyłeś.

— Ależ mnie naprawdę porwali.

— I gdzie byłeś?

— Nie wiem, Nic nie pamiętam. Wracałem z biura i to się stało.

— Co się stało?

— Nie wiem.

— Film ci się urwał?

— Coś jakby.

— Schlałeś się z kolegami. Przyznaj się lepiej!

— Ależ ja naprawdę...

— Kaziu! Jeśli to, co mówisz jest prawdą, to biegnij do ludzi uczonych, do milicji, ja wiem, gdzie. I wszystko im opowiedz. To przecież zbrodnia porywać ludzi z ulicy. No biegnij! Czemu stoisz?

— Nigdzie nie pójdę.

— Dlaczego?

— Bo kto mi uwierzy?

— Dlaczego mają ci nie uwierzyć?

— A ty mi uwierzyłaś?

Z. I. ELONY

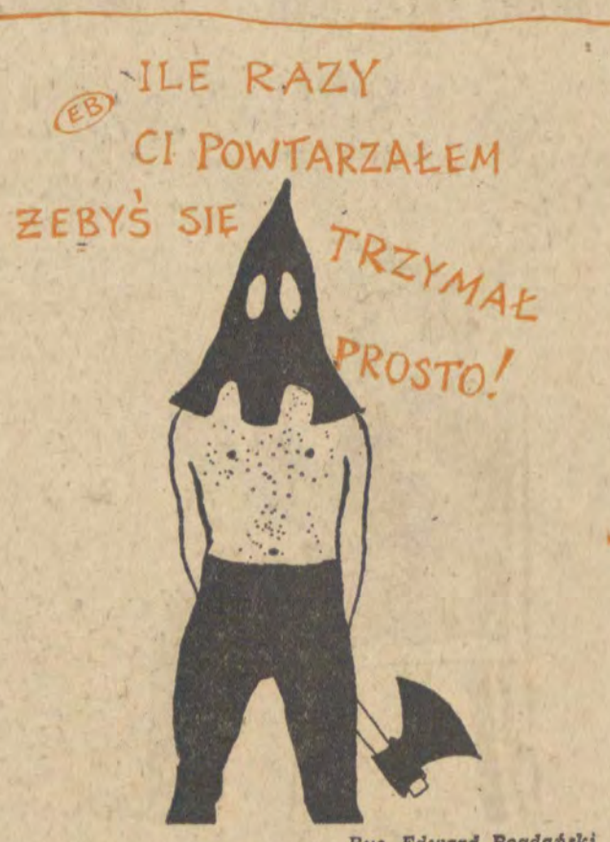

Rys. Edward Bogdański

W ZASADZIE

Pisanie o sexie nie jest łatwe. W potocznym mówieniu o „tych sprawach" używa się innego języka, w rozważaniach naukowych innego. Jeśli więc podejmuje się trud pisania o tym w młodzieżowym piśmie, to trzeba jednak więcej uwagi zwracać na słownictwo, bo może dojść do zabawnych nieporozumień. A takie zdarzyło się dr Jerzemu Radomskiemu w artykule „Trzeba symetrii" w „Sztandarze Młodych".

Zaczyna on artykuł tak:

„Mimo, że autoerotyzm jest zjawiskiem powszechnym (przede wszystkim u nastolatków), zachowania seksualne — niezależnie od tego, czy podejmowane w celu prokreacji, czy dla samej zmysłowej przyjemności — są zasadniczo działaniem w układzie partnerskim".

Jeśli przetłumaczymy to zdanie na język polski, to okaże się ono niebywale dowcipne. Autor chce bowiem nas poinformować, że choć zdarza się że szczególnie młodzież szuka przyjemności w samozadowoleniu seksualnym, to jednak stosunki płciowe odbywają się z partnerem.

A teraz będzie dowcip. **„Podejmowane w celu prokreacji"** należy przetłumaczyć, jako podejmowane w celu wydania na świat potomstwa I zdaniem autora takie stosunki są **„zasadniczo działaniem w układzie partnerskim"**. Konia z rzędem temu, kto udowodni, że dziecko można zrobić samemu z sobą. Dlaczego więc zdaniem autora dzieci płodzi się „zasadniczo" we dwoje?

ZYG.

Z Tomaszowa Mazowieckiego, za pośrednictwem „Tygodnika Piotrkowskiego", nadeszła pocieszająca wiadomość:

„Taśmy będą się przylepiać".

„Taśmy samoprzylepne — donosi „Tygodnik Piotrkowski" — które obecnie wytwarzane są w zakładach „Chemitex—Wistom" w Tomaszowie nie cieszą estymą wśród klientów".

POSTĘP

Estyma — jak wiadomo, to inaczej poważanie, szacunek, cześć, uszanowanie. Szacunkiem czy poważaniem cieszą się na ogół ludzie.. Skąd szacunek do taśmy samoprzylepnych? Chodzi zapewne o normalne powodzenie, ale ktoś chciał popisać się przed czytelnikami znajomością języków obcych, a do słownika nie zajrzał.

Dlaczego taśmy samoprzylepne nie cieszą się powodzeniem wśród klientów?

„Po prostu słabo się lepią i ulegają odkształceniom".

Czyli „Chemitex—Wistom" produkuje buble.

A co zrobić, aby bubli nie produkować?

„...tomaszowska fabryka postanowiła we własnym zakresie uruchomić produkcję wysokiej jakości kleju, który zapewni — pisze dalej „Tygodnik Piotrkowski" — właściwą przylepność taśm i nie będzie działał agresywnie na materiał".

I to właśnie jest postęp. „Chemitex—Wistom" zamiast „zadziałać agresywnie na kooperanta", który do tej pory produkował klej, sam będzie to robił. Bo to łatwiej, prościej i skuteczniej. I tak w naszym coraz bardziej specjalizującym się przemyśle, obok zasadniczej produkcji każda niemal fabryka posiada małe gospodarstwo pomocnicze, a to brygadę remontowo-budowlaną a to pola uprawne, a to fabryczkę czegoś tam, aby uniezależnić się od kooperantów. I takie postępowanie chwali się jako osiągnięcia i sukcesy przemysłu, zamiast wytykać, jako ujemne skutki źle rozwijającej się specjalizacji i kooperacji.

Zyg.

Ze sportu

TO NIE HASŁO

Katowicki „Sport" opublikował na pierwszej stronie następujący tytuł:

„Hasło na zimę dla piłkarzy i trenerów:

ROZJAŚNIĆ OBRAZ LIGOWEJ SZARZYZNY!"

Bardzośmy się tym nakazem ubawili. Bo, co mają robić piłkarze i trenerzy zimą? Mają pracować nad formą, techniką, szybkością, kondycją. A co im każe robić katowicki „Sport"? Rozjaśnić obraz! Nie to hasło i nie pod ten adres.

A CZYTELNICY?

Wiesław Wróbel i Andrzej Szymański opublikowali na łamach „Dziennika Popularnego" swoją ocenę gry piłkarzy w I lidze. Wspominają między innymi i o tym, że **„piłkarze Widzewa nie mogą liczyć na obiektywizm"** naczelnych władz piłkarskich.

„Ten niebagatelny fakt — piszą obaj autorzy — powinni naprawdę wziąć sobie do serca zawodnicy. Jest w tym miejscu jedno przysłowie, którego nie będziemy przytaczać. Doskonale się rozumiemy o co chodzi...".

Odetchnęliśmy z ulgą. Jakie to szczęście, że autorzy rozumieją się doskonale. Ale gdyby jeszcze czytelnicy wiedzieli, co oni mieli na myśli, szczęście nasze nie miałoby granic.

K. I. BIC

ZA TYDZIEŃ NUMER ŚWIĄTECZNY TO CI NUMER!

MALOWANIE BEZ GŁOWY

Wydawałoby się, że — do czego jak do czego — ale do malowania szyldów i wielkich napisów reklamowych na ścianach domów (które czytają tysiące przechodniów) znajomość — przynajmniej podstawowych zasad ortografii — jest niezbędna.

Okazuje się, że bywa inaczej. Dowodem wielki napis na szczytowej ścianie budynku u zbiegu ulic Żwirki i Piotrkowskiej.

FOTON ZAPEWNIA DOBRE ZDJĘCIA

Te „zdjęcia" to wynik raczej nie tyle chęci utłatwienia sobie roboty przez panów malarzy (a — jak wiadomo — litery „i" oraz „j" są podobne, w omawianym wypadku zaś można było użyć jednego szablonu, zamiast dwóch), co — jak podejrzewamy — ich przytępionego słuchu językowego.

(sol.)

WESOŁE KONIE

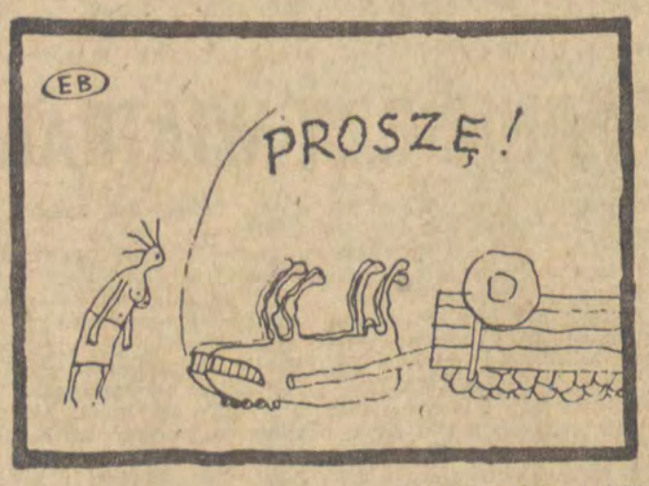

Rys. Edward Bogdański

KONTRA SMUTASOM

Gazety zapowiadają występy zespołu „KASA CHORYCH BLUES". Bluesy to — według tradycji — pieśni śpiewane przez murzyńskich niewolników podczas i po pracy. Są to więc pieśni smutne raczej. Ale te bluesy, która gra i śpiewa „Kasa CHORYCH" muszą być już naprawdę jakieś ponure strasznie. Choroba to — jak się wydaje — stan jeszcze żałośniejszy od niewolnictwa.

Proponujemy — dla przeciwwagi — powołanie „COMBA WESOŁKÓW" (może być: NIERDZEWNYCH).

(hoff.)

DROGA DO INFORMACJI

W ostatnim czasie już parokrotnie sygnalizowaliśmy w „Załączniku" opóźnienia, jakie zachodzą w dostawach książek. Zaintrygowani przyczynami tego stanu rzeczy postanowiliśmy zafundować Czytelnikom świąteczny prezent w postaci opisu długiej drogi książek (pod choinkę).

Z tak szczytnym celem zatelefonowaliśmy w początkach października do dyrekcji Składnicy Księgarskiej (w Łodzi ul. Stalowa). Dyrektor tej placówki p. Iżyniec — tłumacząc się brakiem czasu — poprosił o nasz telefon.

Minął październik i listopad zbliżał się do końca a dyrektor milczał. 22 listopada ponownie zatelefonowaliśmy do Składnicy, przypominając o naszej prośbie. **Materiał ten — podkreśliliśmy — jest nam niezbędny. Chcielibyśmy w nim rzetelnie, obiektywnie przeanalizować problemy księgarskiego hurtu.**

Dyr. Iżyniec wysłuchał, co mieliśmy do powiedzenia i odpowiedział: **— W przyszłym tygodniu będę w dyrekcji w Warszawie i zapytam o zgodę na rozmowę z wami. Proszę zadzwonić do mnie w następny piątek.**

Następny piątek wypadł 30 listopada. Odpowiedź, jakiej udzielił nam dyrektor, była — nie ukrywamy — zaskoczeniem:

— Oto telefon mojego szefa w Warszawie (tu padł numer). Proszę dowiedzieć się, czy będę mógł udzielić wam wywiadu. W tym miejscu dyr. Iżyniec powołał się na jakieś zarządzenie swojego szefa.

Pod warszawskim numerem szczęśliwie zastaliśmy dyr. Palimąkę. Jak wynikło z dość długiej pogawędki, dyr. Palimąka zalicza się do pokaźnego grona dyrektorów, których na sam dźwięk słowa „dziennikarz" świerzbi skóra. Kilkakrotnie już bowiem oberwało się Składnicy Księgarskiej na różnych łamach i w telewizji (ostatnio w „Stolicy").

Zdaniem dyrektora, krytka ta była niezasłużona, oparta na wyrywkowej i nieobiektywnej informacji. Dali ją dziennikarzom właśnie dyrektorzy wojewódzkich składnic, a ci — w przekonaniu dyr. Palimąki — nie są dość kompetentni (bo — jak to określił — sprawują jedynie funkcje wykonawcze). Informacji jedynie wiarygodnych udzielić nam może tylko on sam — dyrektor naczelny, ewentualnie ktoś z centrali (za jego zgodą) i w tym celu powinniśmy wybrać się do Warszawy. Ale — i tu dyrektor zdobył się na szczerość — informacji tych udzieli niechętnie. Argumentacja tego stanowiska wydała się nam jednak nieco dziwna:

— Społeczeństwo nie obchodzi droga książki w hurcie. — stwierdził autorytatywnie dyrektor...

Usiłowaliśmy przekonać go, że jest inaczej, czego dowodem chociażby nasze zainteresowanie sprawą, wywołane przecież sygnałami łódzkich pisarzy i czytelników. Dyrektor Palimąka docenił nasze wysiłki, ale przekonać się nie dał: **— Społeczeństwa nie interesują nasze kłopoty, ani to, jak sobie z nimi radzimy —** oświadczył.

Na takie dictum nieśmiało zaoferowaliśmy naszą pomoc. **— Może nasza publikacja wpłynęłaby na poprawę sytuacji i rozwiązanie kłopotów?** — podpowiedzieliśmy, tracąc wszakże wiarę: dyrektor był nieprzejednany.

— Lepiej byłoby — doradził — gdybyście zajmowali się częściej popularyzacją książki, problemami z jej upowszechnianiem — to właśnie interesuje społeczeństwo... — definitywnie podsumował.

W tym momencie zrozumieliśmy, że nawet gdyby udało się nam dostać przed dyrektorskie oblicze, i tak niewiele byśmy się dowiedzieli... Zrezygnowaliśmy więc, a czytelnikom — zamiast opisu długiej drogi książki do księgarń — zaproponowaliśmy — nieco krótszy — opis długiej drogi dziennikarza do źródła informacji!...

MAGAZYN KULTURALNY